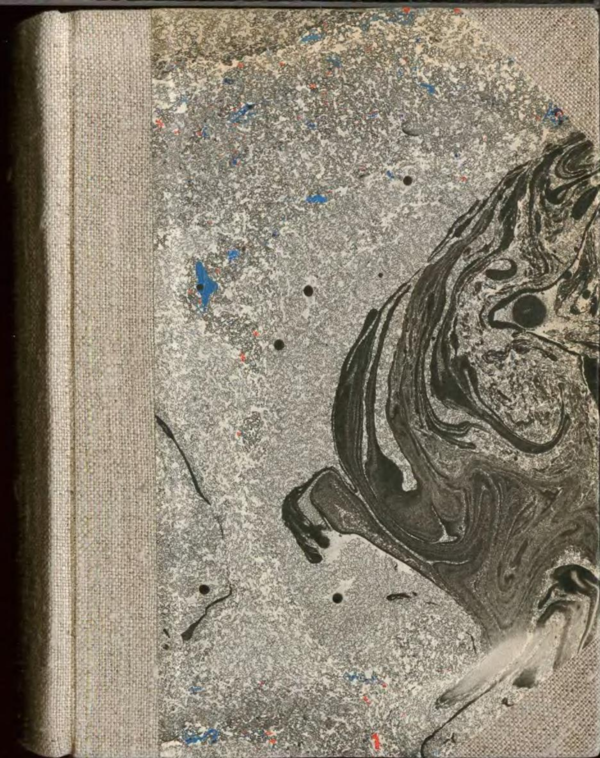


TOMKO PRAWDZIC.

Wierutna bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie wznowione,

LWÓW
NAKŁADEM KAROLA WILDA.
1866.


BIBLIOTEKA NARODOWA
BN

Babin dnia 28. Stycznia 1850 roku.

DO

Walerjana Wróblewskiego

w Zielińcach.

Oto masz znowu kochany Walerjanie książeczkę moją, a co gorzej jak widzisz, przypisaną Tobie. — Żal mi że nic innego w tej chwili niemam cobym ci mógł przesłać, bo Bóg jeden wie jakiego losu i przyjęcia dozna nasz Tomko Prawdzic. Dziewaczna to ramota, kochany Walerjanie, a może i niepotém, ale jak biedne, chore, słabiutkie dziecię, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec to dziecię przynoszę. Daj Boże byś sobie moje dla słabej dzieciny uczucie wytłumaczył.

Kochaj mnie i niezapominaj o mnie

Twój

Józef.

TOMKO PRAWDZIC.

. . . . Rzekł mu Piłat: Co jest prawda ?
S. Jan. Rozdz. XVIII. w. 38.

? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ?
Epigraf z niewydanej rozprawy
o Filozofji przez X. X.

I.

Żaden wielki człowiek nie urodził się jeszcze bez zwiastujących go światu przepowiedni — jest to rzecz dowiedziona. Celem tych proroctw, które się dopiero najjaśniej tłumaczą, gdy ich tłumaczenie na nic się już nikomu nieprzydało, jest zapewne: świat uprzedzić, aby go bohater z nienacka nie zaszedł, i palpitacją serca nie nabawił.

Czytajcie Plutarcha, Korneliusza Neposa, lub zresztą jakiekolwiek żywoty sławnych ludzi dawnego autoramentu, a przekonacie się, że każdy z nich oznajmił się we śnie, na jawie, jakiem symbolicznem marzeniem, lub brzemiennym w znaczenia wypadkiem. Starożytni, których przywykliśmy szanować, nie puścili w świat żadnej biografji bez tego nagłówka; my po części ich naśladując, po części dla tego, że niechcący im jesteśmy podobni jako ludzie,

po części dla tego, że choć nie powinniśmy troche zawsze wierzym jeszcze w przeznaczenie; my także utrzymujemy jak oni, że wielkich ludzi kolebka cudami się otacza, i wpatrujemy się w jutrzenkę, gdy nam oznajmia o mającem wschodzić słońcu.

Nasz także bohater — —

Ale nie powiedzieliśmy jeszcze o tém, że mamy dla was bohatéra w kieszeni.

Stójmy więc, a wprzód nim opiszemy jak on się światu zapowiedział; wyłuszczmy *more antiquo* i przez uszanowanie dla samej Logiki, kto on był i z kogo się rodził.

Procedencja bohatéra jest rzeczą wielkiej wagi, już dla tego, aby rzeczywistą jego exystencję dowiodła tym, którzy gotowi w nią uwierzyć; już żeby nasza klejnotna szlachta nie krzywiła się sądząc, że ją częstujemy jakimś szerepetką, który wypadł sroce z pod ogona. — Darujcie mi to wyrażenie, nie jest ono nasze i nie pierwszy się raz drukuje, mamy za sobą powagę autora Soplicy, który także że nie wypadł sroce z pod ogona.

Zacznijmy więc od procedencji, genealogji i zwykłego wstępu. —

Na poczciwej Litwie, którą powszechnie mają za mniej ucywilizowaną od reszty tego światka, którego była niegdyś częścią, żyła zacna rodzina Prawdziców. Biedna nasza Litwa, że trochę przeciągle wymawia, że często dorzuca *da*, że nie muska czupryny wymyślnie używając zamiast grzebienia pięciu swych palców, a jeździ kałamaszkami, wszyscy ją mają powszechnie za mniej ucywilizowaną. Boże

odpuść potwarcom! dla nich cywilizacja cała w krawieckich nożycach, tancmistrzowskich krygach i wiedeńskich koczach.

Na Litwie tedy żyli państwo Prawdzicowie. Wiecie bez pochyby, że to stary ród szlachecki? Wszakże musieliście czytać herbarz przynajmniej Niesieckiego pod pretextem historji a w istocie dla tego, że teraz znowu w modzie herby i herbarze. Wiecie więc, że herb Prawdzic (tak nazwany dlatego, że prawdy w podaniach o nim dopytać się trudno) pochodzić ma z Dacji, i że na nim wyobrażony jest Lew. Nie Lew, jaki bywa po prostu w naturze, ale ów konwencjonalny heraldyczny lewek z wywieszonym języczkiem, z zakręconym wytwornie ogónkiem, ufryzowany starannie i umiejący służyć na dwóch łapach jak szpice. Ten Lew, mówi Jezuita Niesiecki, trzyma w łapach *Prawdę*, a ta prawda jest żelazna!

Zakrzyczycie mnie pewnie pytaniem jak wygląda owa prawda? co to jest prawda? Ale stójcie! Ta żelazna Niesieckiego prawda wyglądająca na kształt obwarzanka (kształt symboliczny) jest z rodzaju stołowych prawd, co to je kładną pod butelki i szklanki, aby dobrze wychowani ludzie nie poplamili dobrze wypranego obrusa. Jest to tedy tylko podstawkowa, nędzna, biedna prawda, o którą i pytać nie warto.

Prawdzice zaś wywodzą się od owego Androklesa (zobacz w wypisach na klasę drugą) którego nasz Niesiecki przezwał Androdem, a który w Afryce Lwa uleczył, za co Lew wspaniale mu się odwdzięczając, pocałował go

potém w rękę przed prokonsulem i zgromadzonym ludem. Prokonsul zaraz jako człek domyślny (pisze Okolski, który o tém wié najlepiej, bo mu to krewni bliscy Androklesa rozpowiadali) *stante pede*, nadał nie tylko Lwa na własność Androklesowi, ale mu go za herb przyznaczył mówiąc: Słuchaj chłopcze! Jak herbów zaczną używać, co ja już przeczuwam, twoi potomkowie będą mieli gotowy.

Androkles ukłonił się, schował nadanie do pugilaresu i na tém się skończyło.

A że wszystko to *nieprawda*, potomkowie Androklesa, którego na świecie niebyło, zowią się Prawdzicami. Zdaje się logicznie.

Tych Prawdziców nietylko u nas w Polsce, ale po całej Europie pełno było: Meninowie w Etrurji, Hrabiowie de Dinheim nad Renem i t. d. wszystko to Prawdzice, Androklesowicze. Któryś z tych Lwów, ożenił się z dziedziczką (herbowną) czerwonego muru: odtąd mur czerwony zakrywający pół Lwa (dla przyzwoitości) zjawił się na herbie. Któryś z nadreńskich Dinhejmów znowu, ożenił się z córką Jana Prawdy hrabi na Szczawinie i Trąbkach, sędziego ziemskiego Gostyńskiego; a gdy dawano w łapy Dinhejma pannę Prawdziankę, włożono i w łapy herbownego Lwa prawdę, aby jego także czémś zaspokoić. Z tąd konfiguracja herbu, jaką ją dziś szczęście mamy oglądać. Lew tylko jakby nierad z owej niepożywnej żelaznej prawdy, skrzywił się zaraz i dotąd się krzywi.

Prawdzice pisali się z Trąbek, z Łabiczyna, z Golczewa, ze Szczawina, a tak się z czasem rozmnożyli (*coelo favente*)

że z nich wyrosło kilkadziesiąt familji. Nasi Prawdzice mieli przydomek Łaszczów, a któż z was znowu niewie, że pierwszy Łaszcz za Zygmunta III. podgolił sobie czupryne? Był to wypadek na pozór drobny, ale ogromne mający w istocie znaczenie: pierwszy co sobie łeb podgolił, czuł że ta moda odpowiadała potrzebie wieku, że już za Zygmunta III. ledwie trochę czuba różniło nas od mieszkających u Bonifratrów. Wiek Zygmunta III. i symboliczny Łaszcz poczynają epokę upadku. Niestety! trwał jeszcze dla podgolonych czupryn mięsopust długo, a prawnukom dopiero zostały — popiół i śledzie.

Stary pan Prawdzic miał imię Bartłomiej; śliczne imię hreczkosieja, imię, z którém złym gospodarzem być nie można, bo ci nieustannie przypomina, że na imieniny pierwsze żytko posiać powinieneś.

On był Bartłomiej, ona miała imię Hanna. Jejmość równie dobra szlachcianka rodziła się z Leliwy, a po ojcu używała Roli (na pieczątce, gdyż ojciec niezostawił jej ani zagona); nazywała się nawet Rolanka. Poczciwy to był ród.

Dziwnym składem okoliczności, matka Prawdzica starego była z domu Krojów (alias Lemiesz choć to nie wszystko jedno) co wedle niektórych dowodziło nobilitację od pługa, na co nosy krzywiono, woląc gryfy i jastrzębie od poczciwego pługa, dającego chléb i znaczącego pracę!

Mówię wam zaprawdę, że nie darmo nasi herbologowie zwłaszcza Okolski, mówią zawsze o charakterze rodów — o! niedarmo!

Ludzie co nosili w herbach Rolę, Kroję, z ojca w syna

byli gospodarzami. Wyrwał ci się niekiedy i z tego spokojnego gniazda zawadyja, paliwoda, rębacz, wojak, ale to ogólnego nie łamało prawidła: dóm przecie był gospodarski.

Macie tedy już do sytości o przodkach i antenatach, może nawet za wiele, ale nie chciałem pozostać w tyle od innych historyków naszych, którzy do żywota bohatéra bez tego wstępu, jak do obiadu bez kielicha wódki przystąpić nie umieją.

Dla czegożby doprawdy życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśniać historji wnuków. Wszak dowiadujecie się, kto rodzi konia, gdy go do stada kupić macie, pytacie się także, jaka krew w jego żyłach płynie? I myśmy trochę konie pod pewnémi względami.

Nasi przodkowie dają nam narzędzia, któremi dusza od Boga zesłana ma się światu objawić. Ważne są i one (ja zupełnie pojmuję dla czego starożytni jacyś prawodawcy krzywe i słabe dzieci topić kazali jak kocięta) — Arystokraci nasi mają wielką słuszność, że się z przodków chlubią: mięso, ciało, bydlęcą swą część są im przecie winni; boć spodziewam się, że nie myślą im dziękować za duszę, którą Pan Bóg jednaką i równą każdemu daje.

Bartłomiej Prawdzic, dożył naszych czasów w świętej prostocie, świętej wierności, niewinności i pokoju, a obrzydzeniu tych szatańskich inwencji, któremi młodsze pokolenie zachwyca się jako postępem.

Miał on na Litwie wioseczkę jak wszystkie nasze: z jednej strony lasy, z drugiej błota i sianożęcie, środkiem poletki i wioska z dwudziestu złożona chatek, czarnych, dym-

nych, niskich, biednych. W końcu jej stała karczemka i kościółek, dalej nieco dworek w drzewach starych, prawdziwy dworek szlachcica. Około niego lamusik i sérnik wysoki, studnia z żórawiem, loch z białą piersią i grzbietem garbatym, stodoła z krzyżami i rokiem budowy wyszytym misternie snopkami na dachu. Dołem przy młynku nad grobelką stała gorzelenka; staroświecka, pochylona, okopcona, trochę kulawa, a w niej ile kotłów, kociołków, czapek, trąb, swędu, błota, dymu, żydów i satysfakcji!

Wspominamy tu o wszystkich budowach gospodarskich, o których słowa by rzec nie czuł się obowiązanym innego kraju powieściarz, a to dla tego, że one regulowały i przytykały zewsząd do życia pana Bartłomieja. Coby on robił, gdyby ich tam nie było? gdyby z kąta w kąt nie chodził, nie dreptał, nie gdérał i co się zowie nie gospodarował! Poczciwa pani Hanna miała także swój wydział gospodarski: podwórko ptastwa pełne, motki, płótna, grzyby, jagody, lekarstwa, aptéczkę, przysmaczki, wygodki, kuchnią; do niej wyłącznie należące.

Jak tam czas schodził? wiécie już pewnie. Modlitwy, gawędka cicha i nie namiętna, gospodarska, powolna, z wieśniakiem narada, pomoc w potrzebie dla niego, nabożeństwo— to były jedyne żywioły ich życia. Czasem sąsiad gość, czasem jakieś dziwne i z karbów zwyczajności wychodzące zdarzenie, ożywiały to spokojném korytem płynące *żytko* szlacheckie.

(Darujcie neologizmus, przebaczcie uwadze że *żyto* musi się tak nazywać, z powodu iż utrzymuje *życie*.)

Bartłomiej Prawdzic ożenił się jak Bóg przykazał, poczuwszy wolę Bożą, jak to dawniej mawiano, bo śmierć i żona — przeznaczona! Ożenił się ani zawcześnie, ani zapóżno, ani z szalonej miłości, ale wedle rodzicielskiej woli i serdecznej inklinacji, biorąc w stanie swym towarzyszkę i dozgonnego *przyjaciela*.

Nasi ojcowie kobietę wynosząc na małżonkę, nie *przyjaciółką* (uchowaj Boże) ale ją zwali *przyjacielem*. *Przyjaciółkami* zwały się kobiety wcale innej kategorji; *przyjacielem* żona, którą w ten sposób na dostojeństwo *męża* a raczej *mężyny* biblijnej wynoszono. Nikła płeć w tém nazwaniu pełném głębokiego a niepostrzeżonego dotąd może znaczenia, szacunek okrywający kobietę, żonę, niedozwalał nawet przed ludźmi o uczuciu z którém my się dziś tak głośno popisujemy, wspominać.

Nazwanie to oznaczało, że brali żony dla przyjaźni nie dla miłości, nie dla płci ich. W tem słówku jest może więcej niż w mnogich rozprawach o obyczajach.

Język! wielka skarbnica narodów! gdyby historja zapomnianą została, jeszcze by główne jej wypadki, jej ducha, z językowych swiadectw odbudować można.

Anna, którą mąż także panną *more antiquo* nazywał (a i to ma głębokie znaczenie) godną była poszanowania i miłości małżonka.

Nigdy niewiasty swiętszej, cichszej, łagodniejszej, skromniejszej, pracowitszej, w złym razie wytrwalszej niewidziano. Żyła cała w mężu i mężem, skinienia jego patrząc by je uprzedzić. Pan Bartłomiej pomimo przywiązania i poczci-

wości swej miewał czasem chwile cierpkie, gryzły go kłopoty, czyniące niecierpliwym, opryskliwym i przykrym. Ona to wszystko uśmiechem lub słówkiem, które jej serce podyktowało lepiej od najwykwintniejszego rozumowania, umiała uśmierzyć, ukołysać i zbolałe serce ugoić.

Przeżywszy z sobą w stanie małżeńskim lat piętnaście państwo Prawdzicowie, jednego tylko żałowali. Bóg nie dał im potomstwa. Oboje w początku okrutnie na to cierpiąc, gdy się postrzegli, że częste wspomnienie zwiększało ich boleść, przestali o tém mówić, by sobie ulżyć wzajemnie.

Jejmość z uśmiechem, choć łzy miała w sercu, cieszyła się głośno, że dziecka nie miała; jegomość zapalczywie jej ze swej strony wtórował, przywodząc dykteryjki o niewdzięczności dzieci względem rodziców.

Ale co się tam w ich duszy działo!

Modlili się potajemnie, robili wota skryte, suszyli i pielgrzymowali, ale długo nadaremnie. Aż nareszcie po latach piętnastu, jednego poranka gdy razem pili piwo grzane u dębowego stolika z warcabnicą, pani Anna podniosła się, pocałowała w czoło łysawe p. Bartłomieja, i uśmiechając się rzekła:

— Słuchajcie no panie Bartłomieju, mam Jegomości coś dobrego powiedzieć.

— No! no! a cóż to takiego, odezwał się mąż wąsa ocierając, cóż to za rarytas, że się tak moja panno wybierasz być czajka za morze. Musi to być nie lada specjalna nowina.

— Nie mylisz się Jegomość, Bóg dobry obiecuje pocieszyć nas potomstwem.

Ktoż odmaluje co się stało z panem Bartłomiejem! Porwał

się od stołu, i zaczerwieniony chwytając żonę w pół, zawołał głosem drżącym.

— Handziu! serce moje, nie żartujesz! na Boga miłego moja panno, wszak nie żartujesz?

— Jakżebym śmiała! a jeszcze w takiej rzeczy! godziłożby się?

Oboje stali chwilkę milczący, jej łzy się potoczyły po twarzy, jemu usta i ręce drżały z radości.

— Przecież Bóg mnie wysłuchał, niech mu będą dzięki! rzekł siadając.

— Ciebie kotku? uśmiechając się odparła Jejmość, chyba mnie? powiedz lepiej, ty ciągle powtarzałeś, że dzieci nie lubisz, że ich wcale nie żądasz. Ja Bóg widzi od lat trzynastu tylko o to się modlę.

— Jejmość! a dla czegoż ciągle powtarzałaś, że to wielki ciężar i wielka odpowiedzialność przed Bogiem kto ma dzieci; że lepiej jest niemieć, niż tracić lub widzieć jak marnie pójdą?

— Mówiłam ci to nieraz, niezapieram, ale ....

— Ba! rozumiémy się, obojeśmy pobożnie kłamali! Nagadaliśmy sobie siła że niechcemy dzieci, bośmy się ich niespodziewali, a serca sobie rozraniać nie chcieli; ale oboje zarówno ich żądaliśmy. O! złota moja Handziu jakim ja szczęśliwy, jak panu Bogu memu dzięki składam.

— Usiądź że, uspokój się kochanie....

— Samabyś siadła moja panno i uspokoiła się, tobie teraz nawet pewnie stać niezdrowo. Patrzajcie dodał po chwili, będziemy mieli dziecię.

— A! a! a niemylisz się no tylko moja panno!

— Zwiodłam że kiedy Jegomości, spytała żona ze słodką wymówką. Nic przecie dotąd nie wiedziałeś, a to już od czterech miesięcy. Pytałam się znachorek, starej kowalowej i Elżbiety, niéma wątpliwości.

— Jeszcze pięć miesięcy czekać! niespełna pół roku długo to długo, ależ wyściskam chłopca jak się urodzi!

— A któż ci powiedział że będzie chłopiec!

— Ba! a prawda, szłusznie kochanko mówisz! To jeszcze na dwoje widłami pisano, albo albo, proszę, a mnie się zdawało. —

— Bóg jeden wié co nam dać raczy.

— A jabym przysiągł, że syna miéć muszę.

— Nie łapmy ryb przed niewodem.

Pan Bartłomiej zamyślił się, westchnął i dodał:

— Zapewne.

Jakie tam były potém troskliwości, obawy aż do urodzenia potomka, opisać by trudno; Jejmość donosiła dziécię szczęśliwie.

Ale tygodniem przed urodzinami pan Bartłomiej miał dziwny sen. We śnie tym co widział, nazajutrz temi słowy przed miejscowym proboszczem, księdzem Sycyną, opowiadał:

Nadedniem, mości księże kanoniku, zdało mi się jakobym był na szerokiem, bardzo rozległem, ba nawet bez granic i widomego końca, polu. Widziałem wyraźnie wszystkie przedmioty na niem znajdujące się, a była ich moc nieprzeliczona. Wszystko, co na świecie widzimy, o czém słyszymy, tu się razem znajdowało. Zdaleka błyszczał Oceanus, bliżej płynęły rzéki, jeziora biły o piaszczyste brzegi, ryczały

zwierzęta dzikie po głębokich ciemnych lasach, bili się ludzie, inni zasiewali pola, inni żęli, pielgrzymowali wielkiemi kupy, płynęli okrętami, budowali miasta, burzyli grody, lub siedzieli nieruchomi nad księgami.

W jednym końcu tej czarodziejskiej doliny świeciło słońce wytrzeszczoném okiem, na drugim wrzała burza sroga. Były tam, jakem wam mówił wprzódy morza, góry niebotyczne, doliny głębokie i ciche a chłodne, puszcze ciemne i piaski arabskie, wszystko to jedno obok drugiego razem zlane w doskonałe *totum;* rzekłbyś księże kanoniku jabłko z jednej strony rumiane, z drugiéj żółto blade.

Gdy stoję, a spozieram ciekawie (boć było na co patrzeć) uważajcie tylko — z piersi mojej, z piersi! mości kanoniku, wychodzi, *znak zapytania, signum interrogationis,*



i ani obejrzawszy się nawet w świat rusza.

Znak ten zapytania, miał główkę w jasnę włosy ubraną, kij wręku, sakwy próżne na plecach, i smutne jakieś niebieskich ócz wejrzenie. Mimowolnie zająłem się nim, i już tylko nań spoglądałem.

Szedł poważnie, niekiedy zastanawiając się po drodze, od kamienia do kwiatu, od kwiatu do ptaka, do zwierząt, do ludzi, do miast, do siół, do gór i dolin, do rzek i mórz, a do wszelkiego tworu bożego.

Zdawało się jakby je o coś rozpytywał, bo cóżby innego

mógł robić znak zapytania? ale ja ani jego głosu, ani dawanych mu odpowiedzi nie mogłem dosłyszeć.

Po każdej niedorzekanej czy odebranej a niedostatecznej odpowiedzi, znak zapytania pokiwał główką, zwrócił oczy w niebo i ruszał dalej. Długo tak poglądałem na to zjawisko osobliwsze, aż nareszcie, gdy znak mój zniknął w oddaleniu, przebudziłem się. Cóż to znaczy mój ojcze? Sen nadto dziwny, żeby miał być nic nie znaczący.

— Sen w istocie dziwaczny, odpowiedział ksiądz Sycyna zamyślając się i zażywając powoli tabaki, sen bardzo dziwny. Ale sen mara, pan Bóg wiara, mój kochany panie Bartłomieju!

— Przecież mój ojcze, bywały sny wieszcze!

— Tak, starożytni bardzo w nie wierzyli, mieli oni nawet jak to panu wiadomo, swoich *Dii somniales,* Bogów snu, objawiających swe wyrocznie marzeniem; nie bez tego żebyś też pan niesłyszał, że i oni rozróżniali sny przychodzące przez wrota *rogowe* i wrota *z słoniowej kości* to jest wieszcze i fałszywe.

Więcej też jest snów zwodniczych, pochodzących od ciała, od szatana. Wiémy o tém z pisma świętego, że nieraz Bóg zsyłał widzenia we snach prorocze, ostrzegające, okazujące przyszłość, ale tylko tym, którzy na szczególniejszą jego łaskę zasługiwali.

— Nie pochlebiam sobie.

— Więc lepiej dałby pokój interpretacjom wszelkim, bo w dodatku, kochany panie sąsiedzie, jam nie Josephus on, i nie czuję w sobie powołania do snów wykładu. Bóg wie co to znaczy, a najprędzej czysta fantazja i igraszka.

Czy nie wpatrywałeś się Asindziej bardzo w znak zapytania na książce jakiej, czy nie oczytałeś się zbytecznie *nowych Athen?*

— Od niedzieli księże kanoniku w ręku książki nie trzymałem krom kalendarza, kalendarz zaś nie obfituje w znaki zapytania, a *officium* na którém się modlę, także.

— Prawda! a zatem to igraszka imaginacji.

— Jednakże mości księże kanoniku, gdybyśmy spróbowali sobie wykładać?

Ksiądz Sycyna ruszył ramionami.

— Znak zapytania, rzekł, jest sam z siebie rzeczą złą i potępioną. Grzéch pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania; na nim stoi cała filozofja swiecka, bunt aniołów przeciwko panu Bogu niczem innem nie był także krom zbrojnym znakiem zapytania. Ciekawość pierwszy stopień do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy.

— Co mówisz ojcze?

— Tak mi się zdaje. To jego szwendranie się po całym swiecie waścinym, jak opowiadasz, także nic dobrego nie znaczy. *Dobre* siedzi cicho w kącie, *złe* tylko szuka napróżno spoczynku którego nigdzie znaleść nie może. Tandem plunąć a porzucić.

— Masz Jegomość racją.

I na tém skończyła się rozmowa.

Sen jednak był proroczy.



II.

W krótce po tym śnie tak dziwnym urodziło się panu Bartłomiejowi dziécię; był to syn; a dano mu imie dziadowskie Tomasz.

Opisać radość matki i uniesienie ojca, ich uściski, łzy i polatykę na chrzcinach, trudno; gdybyśmy *per extensum* ten opis tu umieścili, nie wieleby się w nim nowego znalazło. Od niejakiego bowiem czasu tak bogaci jesteśmy w tego rodzaju obrazki narodowe, że moglibyśmy ich nieco nawet za pomierną cenę innej jakiej literaturze ustąpić.

Lecz idziemy dalej.

Rodzice tak byli uszczęśliwieni, że im nawet na myśl nie przychodziło posprzeczać się o wychowanie dziecięcia. Nie widzieli też wcale dwojakiej ku temu drogi: jedną tylko.

Tomko był ślicznem dziecięciem jasnowłosem, niebieskookiem, rumianem, nie zbyt żywem, ale jak to mówiono, *ciekawem*, rozmyślającem chętnie od lat młodych i tęsknem. Wszystko go zastanawiało, o każdą rzecz długo bez końca, z zapytania w zapytanie wpadając, do ostatka badał. Zbywano go wreście ni tem ni owem; a dziecko zbyte nie uspokojone pokręcało główką milcząc posłusznie gdy mu zamilknąć kazali, ale nieprzestawało myśleć i badać.

Ojciec i matka spoglądali po sobie, dziwili się ze strachem dowcipowi wielkiemu, wróżyli przyszłość swietną, i panu Bartłomiejowi nieraz sen ów na myśl przychodził, a gdy go przypomniał, kiwał głową bardzo długo.

Gdy Tomko podrósł nieco, poczęto mówić o Dyrektorze ale na nieszczęście starzy owi dobrych czasów Dyrektorowie

co sługiwali za pięćdziesiąt złotych i dwie pary butów, a ja-ko *præmium diligentiæ* otrzymywali w dzień imienin pańskich lub na rok nowy starą kapotę łataną na łokciach; co to utrzymywali regestra ekonomiczne, pilnowali w gorący czas pańszczyzny i batożyli chłopów niemiłosiernie: — zniknęli już byli z horyzontu.

Nic podobnego nie trafiało się.

Pan Bartłomiej sam wychowany przez podobnego Dyrektora i synowi innego nie życzył. Tem czasem ksiądz kanonik Sycyna zajął się początkową nauką chłopięcia, a nie mając co robić, bo go wikarjusz z niewielkiej parafji wyręczał; uważając Tomka za dobre *subjectum*, podjął się chętnie trochę go podkrzesać.

Nie długo to wszakże trwało; bo osobliwym trafem, zesłany został panu Bartłomiejowi taki właśnie na pozór Dyrektor, o jakim marzył, jakiego sobie życzył.

Jednego letniego wieczora, gdy z gumiennym w ganku o jutrzejszej robociznie rozprawiał, rostrząsając, czyby lepiejby było nowe kosić sianko, czy już pokoszone gromadzić, we wrotach psy zaszczekały.

— Kogoż to tam pan Bóg prowadzi do nas? spytał gospodarz.

Postać wcale niepospolita ukazała się na podwórku, wysokiego wzrostu, ale trochę pochyły już mężczyzna, z obwisłym wąsem, łysą głową, oczyma szaremi, głęboko w powiekach siedzącemi, usty skrzywionemi, jakby do uśmiechu szyderskiego, w długiej sukni ciemnoceglastego koloru

podpasanej rzemiennym pasem z klamrą mosiężną, z kijem ogromnym w ręku, kroczył powoli ku gankowi.

— *Laudetur Jezus Christus.*

— *In saecula saeculorum Amen.* A co nam dobrego powiecie? spytał pan Bartłomiej.

— Dobrego? he? rzekł nieznajomy. Wszystko *dobre* poszło dawno spać i obudzić się niemoże, *niezgorsze* drzymie, a *złe* chodzi po szerokim swiecie. Dobrego dawno w oczy niewidziałem.

— Któż jesteście i co was do nas prowadzi?

— Jestem człowiek jak widzicie, goły ale wesoły, stary ale jary, a prowadzi mnie Pan Bóg i oczy.

— Ale cel waszej podróży?

— Cel! ha! cel! *enigma.* A kto z nas wie dokąd idzie? odparł szydersko nieznajomy.

Pan Bartłomiej nie wiedział już jak zagadnąć, żeby się czegoś przecie więcej dowiedzieć.

— A zatem, rzekł, nie pytając więcej, witam was i proszę do chaty.

— Kolej tedy pytać na mnie, bo bez pytania nie ma rozmowy, a bez rozmowy niema życia. Nie potrzebujecie czasem Bakałarza?

— Jakto? wy bylibyście?

— Do usług waszych, stary Jakób Dołęga, a teraz ani kup bo niema za co, ani Dołęga; tylko niedołęga starzec co zęby zjadł do pieńkow na suchym chlebie dyrektorskim. Posłyszawszy że u was chłopiec dorasta, i że mu już

pierwsze zęby powypadały a drugie narosły, przystawiłem się ofiarując moje usługi.

Mile zadziwiony pan Bartłomiej; że się bez porady żony nic nie działo, wywołał zaraz panią Hannę dla obejrzenia Dyrektora i zasiągnienia jej zdania.

Jakób Dołęga znany był w sąsiedztwie zdawna, ale z dziwnych słuchów które o nim chodziły. Nazywano go najpowszechniej dziwakiem jak pospolicie zowią tych których zrozumieć nie mogą. No to nazwisko wielce podobno zasługiwał: szydził łagodnie prawie ze wszystkich, prawie ze wszystkiego, zdawał się w nic nie wierzyć choć czasem gorąco się modlił; miewał chwile wesela głośnego, to znów raptusy złośliwego smutku, w których chłostał nielitościwie co mu na ząb wpadło. Czasem roztrzepany jak dziecko, to znów poważny i surowy, szalony lub chmurny, nie wywnętrzał się nigdy do głębi, ani w utrapieniu ani w szale wesela. Obawiano go się i szanowano razem, był bowiem przy tych wadach uczciwy i cnoty nieposzlakowanej.

W życiu całém nic złego dobrowolnie nie popełnił, ale dziwactw bez miary i końca. Starego szlacheckiego rodu, w młodości nawet *posessionatus* i dosyć majętny, stracił, przehulał co miał, nie zatroskawszy się nawet gdy mu już kąta własnego nie stało.

Wziął kij, podpasał się i poszedł wędrować i uczyć dzieci.

Gdzie był, jak wiek do starości przepędził, nikt dokładnie nie wiedział.

Co lat kilka, ukazywał się w swej okolicy, posiedział

w niej chwilę i znów *per pedes* jak mówił, wędrował dalej. Grosz się go nie trzymał, bo nim rzucał, jakby jeszcze był bogatym i krewni nie chętnie przyznawali się do niego, on z nich sobie żartował. Że zaś jeden z braci był Prezesem Sądów granicznych, drugi Sędzią Powiatowym, myśleli że dostojeństwa, które na ramionach dźwigali, do ubogiego Dołęgi przyznać się im niedozwalały.

Znajomych pełno miał wszędzie; serdecznych przyjaciół mało lub żadnych (któż ma przyjaciół serdecznych o kiju chodzący i torbie?) wspominał czasem jednego, ale i ten dawno już był umarł; był to przyjaciel młodości.

Rodzaj Diogenesa wszelki wytwór i wygodę jako niewolę i pęta uważał, mówiąc: że nie my rzeczy których potrzebujemy lecz rzeczy nas mają. Sypiał na twardym tapczanie, chodził w jednej opończy na powszednie i święta, jadł za przysmak chleb razowy z solą i wodą.

— Nie siedzę nigdzie długo, mawiał, bo niechcę pokochać nikogo; to tylko kłopot niepotrzebny.

A że pod ogorzałą i zmarszczoną skórą biło mu serce miękkie, rychło zewsząd uciekał, bo prędko umiał pokochać.

Co umiał z resztą? nikt tego dokładnie nie wiedział: to pewna ze z księdzem po łacinie o theologji rozprawiał jak theolog; z prawnikiem o procesie jak jurysta; z gospodarzem o roli jak ekonom, coby na tem zęby zjadł i nawet z niemcem Doktorem o medycynie po niemiecku szwargotał; talmud żydowski czytał dla rozrywki wieczorami, jakby był wychrztą.

Lubił bardzo czytać choć ten szał czytania nie zawsze go

napadał. Czasem z książkami zamykał się namiętnie w nich zagrzebując, czasem na nie plwał i odrzucał je ze wzgardą. Słowem, był to człowiek niepojęty.

Takiego nauczyciela przyjął pan Bartłomiej do syna; w początku na rok, na dwa tylko początkowe lata zamierzając go zatrzymać; ale i mistrz do chłopca i dziecię do mistrza i rodzice do poczciwego Dołęgi tak się serdecznie przywiązali powoli, że rok za rokiem upływał, a oni rozstać się z nim niechcieli, owszem sami go zatrzymywali gdy brał za kij, i prosili usilnie, żeby pozostał jeszcze.

Stary mruczał, trochę się wyrywał i siedział: dziecku cudownie jak kwiat o słońcu grzejącem otwierała się i rozpromieniała główka.

Tego co to pospolicie zowią *nauką* u nas, nie dał mu mistrz w prawdzie; faktów, dat, figlów uczonych nie napchał mu do głowy; ale głowę do pojęcia wszystkiego co na swiecie uderzyć o nią mogło, usposobił i otworzył. Nie począł on jak pospolicie czynią, nieforemnej roboty bez narzędzi; narzędzie wprzód zaostrzał i sposobił.

Tomcio miał co to zowią otwartą głowę; roztropny, pojętny, ciekawy i wiedzy chciwy aż do zbytku, łaknął tém żywiej, im bardziej Dołęga ociągał zię z wlewaniem mu nauki. Mistrz nic na pozór nie robił, przygotowywał tylko ucznia jak powiadał; uprawiał rolę, przewracał skiby, dwoił, troił, skrudlił, przepędzał, a na ziarno, powtarzał, bardzo jeszcze czasu dosyć.

Jednego poranka niewiedzieć, jak i dla czego, nieodebrawszy reszty biednej należnej mu płacy, niepożegnawszy się z ucz-

niem i rodzicami jego, znikł stary Bakałarz. Dokąd się udał? dla czego dom opuścił? nikt nie umiał wytłumaczyć.

Ale Tomcio był na drodze, którą dalej już sam mógł się jako tako kierować.

Oddano go tedy do szkół Jezuickich; tam bystrém swém pojęciem, niebardzo wszakże podobał się nowym swoim nauczycielom. Nadto szybko przejmował się przedmiotem nauki, i przechodząc zakreślone jej granice, sięgał po za stojące w koło mury, co ją przegradzały. Nauczyciele na jego pytania zuchwałe dziwnie potrząsali głową.

Po tem zaczęto go wybadywać, czyby niemiał ochoty wstąpić do zakonu?

Tomko odparł naiwnie, że nieczuje w sobie powołania. Starano się je wzbudzić, na próżno. Z filozofij odesłano go ojcu zapewniając że już bardzo dosyć umie na prostego ślachcica i przyszłego hreczkosieja. A Tomko utrzymywał *cum debita reverentia*, ruszając z lekka ramionami, że nic a nic z gruntu niepoznał a ledwie począł z rudymentami cokolwiek się oswajać.

Ojciec na to *dictum* odwrócił się poważnie i spytał go:

— A co waści w głowie? czy to chcesz wyjść na uczonego żeby łokciami świecić? czy na księdza?

— Nie ojcze Dobrodzieju, ale chciałbym coś umieć.

— Toć ojcowie Jezuici najlepiej wiedzą ile tobie umieć potrzeba, dość ci na ślachcica, tego co masz; bodaj czy nie więcej tam liznąłeś odemnie, com tylko z łaciną się trochę poborukał i rachunku skosztował, a *Gradus ad Parnassum*

znam tylko z widzenia. — Pocóż waści więcej, księdzem taki nie będziesz, bo mówią powołania nie czujesz.

— Nie czuję ojcze dobrodzieju!

— Więc po cóż ta nauka? Żebyś potém poczciwą gospodarką i ślacheckiem życiem gardził, mędrkował i świdrował myślą —

Tomko zamilkł i spuścił głowę.

— Z wielkiej nauki mówił dalej ojciec, muchy się w nosie lęgną, to raz; — powtóre, głowa się do góry zadziera, co także licha warte; tysiące złych myśli do głowy nalatuje i ze szczęścia, z życia bożego kwita. Nauka spokoju nie da, szczęścia nie da; a dziurawe łokcie i obałamuconą głowę nieochybnie.

— Mój ojcze, wybąknął ośmielając się Tomko, wychowany w staroświeckiem uszanowaniu dla rodziców natchnionem też prawdziwem do nich przywiązaniem; ojcze mój drogi, nie gniewaj się na mnie.

— A za cóż bym się miał gniewać?

— Za to co powiem może zbyt śmiało.

— To waść lepiej niemów —

Syn zamilkł posłusznie, ukłonił się i chciał odejść; pan Bartłomiej pogładził wąsa, ruszył ramionami, obejrzał się na żonę, która napróżno dawała mu znaki, aby Tomkowi owszem odwagi do szczerości poddał. —

— No i cóż tam? spytał ojciec —

— Wola ojca Dobrodzieja święta, nic nie powiem —

— Grzeszny jestem; ciekawość mnie bierze, co to tam tak głupiego miałeś powiedzieć — No mów śmiało, nie będę

się gniewał. Już to widzę ta pora przychodzi że jajca kury uczyć i przewodniczyć im poczną — Słucham waści.

Trzeba wiedzieć że poczciwy pan Bartłomiej jako żyw nigdy się w sercu na dziécię nie gniewał i wedle tradycij, gdy sądził że należało okazac oburzenie, nauczyć *mores*, wystąpił z powagą swoją i objawiał gniew niezgorzej udany jak na domorosłego aktora, aby dziecie z karbów nie wychodziło.

Tomko przy swoim rozumku, naiwny był i prostoduszny na podziw, czasem się to jedno z drugiem godzi i jedno z drugiem chodzi całe życie.

— Ojcze dobrodzieju, rzekł, to co mam mówić, przeciągnie się, chcę wyspowiadać się szczérze i do głębi serca.

— No to mów że waść, mów!

— Proszę więc o cierpliwość.

— Kto ma dzieci, musiał się jej nauczyć, odrzekł pretensjonalnie pan Bartłomiej zawijając poły od kapoty i siadając na sepeciku obok żony. Potem założył nogę na nogę, łokieć oparł o stolik, łysą głowę wziął w dłoń namulaną i siwe oczy wlepił w syna, któren mnąc w ręku surducinę stał przy progu pokornie, ze spuszczonemi oczyma.

Pani matka nieodwróciła oczów od jedynaka, pasąc je swym ulubieńcem; a w wejrzeniu poczciwej niewiasty tyle było głębokiego rozumu! Rozum bowiem i miłość patrzą jednakowo i choć częstokroć działają całkiem przeciwnie i jedno na przekor drugiemu, któż nieprzyzna, że wejrzenie wszelkiej miłości pełne jest najwyższego rozumu?...

———

III.

— Kochany ojcze, kochana matko, rzekł po chwili Tomko dawno mi to na sercu cięży, żem sobie uczynił postanowienie bez zezwolenia, bez wiadomości nawet waszej; a jednak postanowienie niezłomne.

— Wszystko na świecie jest złomne, odparł surowo pan Bartłomiej — ale o jakimże to postanowieniu jest mowa? Gołowąs miałby sam sobą kierować?

Tomko westchnął.

— Opowiem jak do tego przyszło, rzekł. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedym na naszym herbowym klejnocie zobaczył lwa nad mur wspiętego i coś trzymającego w łapach. Spytałem starego Szymona coby to było? odpowiedział mi — słyszałem że to — *prawda*. Cóż to *prawda* Szymonie? dobadywałem się z kolei. — A ot, rzekł wskazując mi na stole słomianą podstawkę pod butelki, ot *prawda*. — Ale, dodał, słyszałem, że prawda którą ten lew trzyma w łapach, ma być żelazna. — Do czegoż się zda prawda żelazna? pytałem go znowu. — Pan Bóg to jeden raczy wiedzieć — rzekł Szymon rozstawiając misy na stole. — A dla czegoż ta prawda okrągła? mówiłem znowu. — Dla tego paniczu, że nie kwadratowa! odparł, a ta żelazna prawda herbowa, ćwiekiem mi w głowie utkwiła odtąd.

— Ale cóż może mieć za związek waścina dykteryjka, spytał ojciec, z waścinem postanowieniem?

— Natychmiast się to wyjaśni; smutnie pospieszył syn z odpowiedzią.

— Dotąd nic nie rozumiem, waść musiałeś podwarjować!

Tomko niżej spuścił głowę i mruczał dalej.

— Odtąd myślałem tylko sam nie wiem dla czego, o prawdzie, wszystkich się pytałem, co to prawda? a od nikogo o tem dostatecznie dowiedzieć się nie mogłem. Różnie różni tłumaczyli, odpowiadali, a ze wszystkiego widać, że to jest jeszcze głęboką tajemnicą. Nikt dotąd niewie dobrze co to jest prawda?

— Jakto niewie? oburzył się ojciec. Szymon to waść bardzo dobrze wytłumaczył, czegoż u diaska chcesz jeszcze?

— Ale to ojcze dobrodzieju, ja już podrosłszy od żelaznej i słomianej do duchownej prawdy przyszedłem i o nią się chciałbym dopytać. Ale i ta dla mnie żelazna.

— I prawisz o nich jak o żelaznym wilku, gderał ojciec miotając się, czyś się waść blekotu objadł? czy sfiksował?

— Postanowiłem życie moje poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Dalipan oszalał, oszalał! Nauka przewróciła mu głowę! Co mi prawi o prawdzie! Alboż to niewiesz trutniu jakiś, że prawdą jest — wszystko co prawda.....

Tu stary zaciął się i splunął.

— Że prawdą jest wszystko co prawdziwe, co nie fałsz, co.....

— Co nas uczy wiara, co nam mówi serce! dodała matka ratując Jegomości który się jak wróbel w siatce targał.

— O tóż to! tak miałem mówić, podchwycił Bartło-

miej — święta i śliczna odpowiedź! Otoż masz z ust matki rezolucją finalną.

Tomko z uszanowaniem pocałował matkę w kolano ale milczał.

— Jeszcze ci nie dosyć?

Milczał uparcie.

— Postanowiłem, odezwał się po chwili, życie poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Ale pocóż szukać znalezionego?

— Nie wszyscy, kochany ojcze, mają szczęście w świętą taką prawdę wierzyć, rzekł Tomko. Każdy ma swoją wiarę, swoją prawdę, a cudzą fałszem zowie. Po szerokim świecie tysiące mniemanych prawd chodzi; mnie się zaś widzi, że powinna by być jedna tylko wielka prawda, jak jedno jest słońce co nam przyświeca i Bóg co nas stworzył.

Rodzice spojrzeli po sobie, a ojcu nagle przyszedł na pamięć ów sen dziwaczny, który urodzenie Tomka poprzedził. Pobladł stary, ruszył ramiony i nic nie rzekł.

— Pytałżeś się kogo o te twoje mary? wybąknął po chwili.

— Wszystkich.

— Cóż ci odpowiadano?

— Każdy co innego.

— Musi to być coś na kształt tego, że prawda z każdej strony inaczej się wydaje. Ale po co waści ten klin sobie bić w głowę — kie licho ci go naniosło? Co tobie

do tej prawdy? Prawda prawdą a ty Prawdzicem, ślachcicem, hreczkosiejem, katolikiem i kwita.

— Spać nie mogę, jeść nie mogę.

— Toby ci głowę ogolić kochanku! No — ale cóż ci przecie świta, co myślisz sobie z tą swoją djablą prawdą?

— Pójdę w swiat po nią.

Rodzice się porwali; ojcu znak zapytania we śnie widziany stał przed oczyma. Marzenie więc było wieszcze, chłopiec w kolebce przeznaczony na dziwne losy! Dwie łzy śrebrzyste puściły się ukradkiem z oczów panu Bartłomiejowi, a matka? — Matka darmo płakała i łkanie tłumiła.

Stary ojciec nie pojmował syna, ale w sercu tłumaczył sobie to niesłychane przedsięwzięcie, jakąś wolą wyższą, której dla niego sen był znakiem. Matka, co już była o śnie tym zapomniała, rozpłynęła się we łzy jak po straconem dziecięciu.

— Tomaszu spojrzyj na łzy matki, te cię wstrzymać powinny, sucho zawarł pan Bartłomiej.

Tomko ukląkł przed nią i całując ją w ręce szepnął:

— Ja powrócę, matuniu! nie sprzeciwiaj się, nie wstrzymuj mnie, iść muszę.

— Ale po cóż? dla czego?

— Za prawdą!

— Nie mówiłam że ci, że najbezpieczniej jest szukać jej w wierze i w sercu?

— A! matko kochana! matko droga! odparł syn cicho — wiarę zachwiano we mnie, serce mówi do mnie niewyraźnie,

mówi znakami których sobie wytłumaczyć nie umiem. —Puść mnie, puść — ja wrócę do was, powrócę!

— Starzyśmy oboje, przerwał pan Bartłomiej — czas by było synowi nas wyręczyć, spodziewaliśmy się tego. Praca mi już cięży gospodarstwo nie idzie w ład.

Tomko stał nieugięty, milczący.

Probowano jeszcze utrzymać go wszelkiemi sposoby, prosząc i płacząc, perswadując lecz wszystko napróżno. Nareście rodzice powiedzieli sobie:—Nie zabawi on tam długo powróci do zacisza, niech gdzie chce idzie z Bogiem.

A zatem zajęli się smutną wyprawą.

Gdy po staremu ślachcic z domu rodzicielskiego wyjeżdżał w swiat szukać szczęścia, by znaleść najczęściej guza lub plamę — czasem oboje, niestety!—wyprawiano go wierzchem z kilką talarami bitemi i skórą bitą także na pamiątkę. Szczupły zapas pieniężny groźbą niedostatku podsycał umysł i zmuszał do dobywania losu szturmem; bita skóra była jakby przypomnieniem, że na drodze do wzniesienia się lękać się nie trzeba cierpienia. — Potém błogosławiono, płakano i młodzieniec pełen nadziei w swiat ruszał — z Bogiem!

Nie tak już wyszedł nasz Tomko, bo i czas był minął gdy szlachta w ten sposób symbolicznie żegnana z domów ruszała szukać losu.

Dokoła zmieniało się wszystko ludzkie, twory tylko boże zostały jak były od wieków. — Obyczaje, myśli, dążenia, środki, wszystko przedzierżgnęło się nagle, inną przybrało twarz, inne suknie; wiek jeden konał, drugi się rodził wesół, śmiały i pewien siebie.

A my nagle ze średniowiecznych obyczajów i bytu, skoczyliśmy bez przejscia prawie, bez widocznej przyczyny w nowe życie, prostem tylko naśladowaniem namiętnem.

Zegar wieków uderzał pierwsze godziny XIX. stulecia. Tomko o kiju, ze łzami w oczach wychodził z domu; ojciec i matka stali w progu i płakali patrząc. Szedł jak żebrak, jak ubogi szukać — czego? — czego oni nierozumieli, czego podobno nikt jeszcze nie znalazł.

Idźmy i my za nim.—

IV.

A gdy wyszedł Tomko na szeroki swiat, pojaśniało mu rychło w oczach, poweselało na sercu; uczuł się sam i swobodny. Przed nim otworem stał cały boży świat, niezmierzony, rozmaity, różnobarwny. Pamięć rodziców i rodzicielskiego domu znikła prędko przed namiętnem pragnieniem wiedzy, przed ciekawością młodzieńczą, która w nim gorączką wrzała. Stanął by się obejrzeć.

A wgłowie myśl mu błysnęła:

—Dla czegożbym nie szukał naprzód prawdy w tworach bożych? czyliż usta ludzkie powiedzą kiedy więcej nad nie, lepiej nad nie o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznej? Czyliż żywy twór nie więcej swiadczy od czczego słowa?

Rzucił kij i usiadł na kamieniu; a była to chwila blisko południa i lato właśnie skwarne.

Słońce sypało złotemi promieniami do koła, rozlewając ciepło żywotne; swiat cały w barwach jasnych i wesołych, lsnił oczy młodzieńca.

— Prawdą jest swiatło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko co widzę! wykrzyknał: Tomko w zapale uniesienia.

— A czemże będzie ciemność, smierć, chłód i to czego w tej chwili nie widzisz? spytał nagle maleńki człowieczek, który z pod stóp Tomka jakby z ziemi wyrósł.

Nie zląkł się nasz bohater niespodziewanego zjawiska, spojrzał na nie ciekawie, zamyślił się i zamilkł.

Człowieczek ów, który zdał się z ziemi wychodzić ubrany był nową fozą a bardzo wykwintnie. Ogromna fryzura spadała mu upudrowana na barki, stosowany kapelusz miał pod pachą, szpadkę u boku z porcellanową rękojeścią (wyglądającą w istocie jak widelec) axamitną suknię mordore szytą blaszkami i jedwabiem, kamizelę atłasową w złote kwiatki, jedwabne na nogach pańczochy i książkę wyglądającą z kieszeni.

Powitali się podróżni i potrzeba było wzajemnie zarekomendować:

— Jestem German Baron von Teufel, odezwał się przybyły; od dawna także szukam prawdy i znaleźć jej niemogę. Pójdziemy razem młodzieńcze pełen nadziei i będziemy uczyć się wzajemnie, mnie może brak już siły, tobie doświadczenia, podeprzemy jeden drugiego. Nie tracąc czasu: powiadasz że ciepło, ruch i życie jest prawdą? Mijam to że ciepło, ruch i pewne życie znajdziesz w gnijącym trupie; ale czemże będzie wszystko przeciwne?

— Fałszem odparł Tomko naiwnie —

— Dla czegożby fałsz miał exystować obok prawdy i na równych z nią bytu prawach? Hm? powiedz mi, po co *jest* fałsz?

— Fałsz jest brakiem prawdy, znów splątany rzekł Tomko.

— Dla czegożby prawda miała być tak dziwnie mierzona i dzielona po odrobince; dla czegożby jej niedostatek miał walczyć z nią samą jak to widziemy codzień? Idźmy i patrzmy a nie wyrokujmy —

Młody chłopiec spuścił głowę, zamilkł, Baron German uśmiechnął się nieznacznie — w cichości spoglądali, a Tomko często się zastanawiał i głęboko zamyślał.

Przeszedłszy kawał drogi, siedli odpocząć nad brzegiem rzeki, i mimowolnie zwróciły się ich oczy na otaczające skał massy. Podnosiły się one połamane, siwe, omszone, w dziwnych kształtach, dając znać o sobie że ich wieki pożyć, i skruszyć nie mogły.

Baron German widząc jak Tomko ciekawie wpatruje się w skały, zagadnął go:

— Co ci one mówią?

— Mówią mi bardzo wiele rzeczy, których ja jeszcze jasno nie rozumiem.

— Pozwól więc mi być tłumaczem. One ci mówią że *byt* nie jest udziałem tego co my zowiemy właściwiej życiem, żywotem jednostki; że dłużej trwa kamienna massa, niżeli ruchawe żyjątko. Gdzież ta twoja prawda, która mówiła że ruch tylko jest życiem prawdziwem, prawdą samą?

— One ci mówią, że materja i materji prawa są prawdą jedyną; reszta wyrostkiem, brodawką, która okazuje się i znika. *Forma mutatur, materia permanet.* Nie tak li?

— Tak jest, odparł Tomko, ale obok tego i *Materia muta-*

tur, forma permanet, będzie także drugą prawdą, nie mniej od pierwszej prawdziwą.

Oba zamilkli, German zażył tylko tabaki, Tomko pochylił się smutny, a pod nogami swemi ujrzał kwiat pełen woni i cudnemi barwami odziany.

Kwiat ku niemu podniósł wonną swoją główkę i uśmiechnął się. —

— Co to prawda? spytał go Tomko.

— Prawda to moja szata niebieska, to moja woń, to *ja*. Wszystko reszta jest fałszem i ułudą. Zacznij od kwiatu a wytłumaczysz swiat cały; wyrwij go z ziemi, a życie ustanie wszędzie. Skały rozsypują się pod nogi nasze, na pokarm gnije dla nas zwierze. Bez nas niema zwierzęcia, niema człowieka. Człowiek jest tylko pierwszym naszym sługą; my środkiem stworzenia. Wiem że powiadacie sobie, iż dla was służy wszystko, że wy jesteście wszystkiem; my toż samo myślemy o sobie. — Powtarzam ci — prawda — życie — ta ja: to kwiat!

German Teufel który leżał pod ogromnym kamieniem nad wodą i spluwał na nią, bawiąc się kółkami które na niej powstawały, rozsmiał się głośno słysząc te dumne słowa.

Grzyb ze starego pnia wysadziwszy głowę, począł mu wtórować. —

— Co za dziwna pretensja! krzyczał z oburzeniem zakładając na ucho swój ogromny skrzydlaty kapelusz. Kwiat jest głupią i nieforemną karykaturą grzyba! niedoskonałym grzybem, któż tego niewie. Wszystko poczyna się od alfy — grzyba i na omega — grzybie kończy. Grzyby rosną wszędzie,

począwszy od nosa człowieczego, który często za wygodne i miękkie służy im siedlisko.

Grzyb jest najdoskonalszym bez wątpienia stworzeniem: obie płci ma w sobie, rozpładza się lada dotknięciem do ziemi, powietrze służy mu, nosząc wszędzie jego zarodki silne do najniedojrzańszych pyłków i bryłek. Wszędzie my jesteśmy, my królujemy, reszta nasze *prostratum*. Grzyb prawdą, grzyb życiem, reszta podściołem na którym on sobie wygodnie urasta.

— Milczałbyś muchomorze zjadliwy, krzyknął German pięścią go gniotąc — paplesz zupełnie jak człowiek i siebie bierzesz za ognisko wszystkiego, bo reszty nie rozumiesz. Siedź póki cię kto zdybie i milcz.

Ucichło, ale muszka przelatując tamtędy siadła na kwiatku i brzęczeć zaczęła:

— Co za życie kwiatka i grzyba? Bez ruchu, bez głosu, bez ciepła? Ja to zyję! ja żyję lepiej od nich, ja jestem jedynem życiem i prawdą żywota. Nie pytaj innych, każdy ci powie że najdoskonalszy, ale popatrz się tylko okiem bezstronném, nie ja li czasem jestem istotną panią stworzenia? Lecę, idę, biegnę, płynę na trawy zdziebełku gdy zechcę, gdzie zechcę — Budowa ciała mojego doskonała,a prosta, — Patrz co za śliczne szkrzydełka, jakie nóżki zręczne i kształtne! A jak mało potrzeba mi do życia? Jednej kropelki z kielicha kwiatu, trochę pyłu który wiruje w powietrzu. — Jam życiem, jam sama prawdą.

W tem doleciał ptak i muszkę połknąwszy tak zaśpiewał:

— Ja to jestem prawdą życia! w stworzeniu stoję pośrodku, latam, pływam i chodzę; głos mam czarowny, mam szatę bogatą, mam kształty wytworne, jestem królem i panem swiata — Czem wy przy mnie? Niewolnicy czołgający sie po kale i gnoju. —

Zaświergotał, zatrzepotał skrzydełkami i uleciał. Wtedy żaby i ropuchy podniosły z głębi wód, z jam w szczelinach ziemi, głos ogromny oburzenia pełny.

— Cha! cha! cha! cha! . . . . .

Cały naród wodny i sprzymierzone węże, płazy, skorupiaki, żółwie, powysadzały głowy na wierzch, porozdziawiały paszcze i za boki się trzymając rycholały od śmiechu.

— Cóż to za bałamut? rzekła stara ropucha blisko w dziurze siedząca, sam niewie co bredzi. Życie, jego życie! co ono warto proszę! funta bym kłaków nie dała za nie. Naprzód że krótkie do licha. My możemy żyć w szczęsliwem uspieniu, pół życiem, pół marzeniem roskosznem, zamknięte w skale, zarosłe w drzewie lat tysiące, nic nie potrzebując do podsycania w sobie życia; bo w nas samych jest silne jego ognisko. Wyjm mi serce, wyjm mózg, rozpłataj którą z moich przyjaciółek, a z sercem z mózgiem, z raną nie odbierzesz nam życia. Z jednego rozciętego dwa ci wyrosną płazy.

Żółw dodał poważnie z pod kaptura wysadzając nos zatabaczony:

— A kiedy przyjdzie kochać, toć kochamy nie tak naprzykład jak te błazny wróble co tylko skrzydełkiem musną

ulubioną i ruszają dalej. — Nasza miłość trwa tyle, ile drugich życie.

Muszle i inne twory z głębi wód, adwokatom swoim potakiwały wesoło, a węże swistały radośnie.

Stara ropucha zakaszlawszy, tak dalej mówiła:

— Chwalcie się sobie wszyscy jak chcecie, a nasza prawda: Królestwo nasze ogromne. Wszystko co jest, jest niedoskonałym płazem. Mniej daleko ma doskonałe organa i słabsze nierównie życie.

— Siedziałabyś cicho Sofistko! chlupnął polyp — śliczne życie! Jedno serce, jedna głowa, jeden i do tego wcale kiepski żołądek! — U mnie zobacz co się dzieje. Serce, żołądek, piersi, wszystko co u was porozdzielane, porozrywane, u nas jest jednem, niewiadomo gdzie się co poczyna, gdzie się kończy. Za to też tnij mnie sobie jak chcesz, węzłów życia we mnie bez liku, odrodzę się do nieskończoności.

Tysiące różnych głosów drobnych a nieskończenie licznych zaśpiewały chórem, głusząc polypa, który zanurzył się rychło i wzgardliwie odwróciwszy uszedł.

— Nasz jest swiat, my życiem i prawdą, śpiewały Helminthy — myśmy żywota żywotem, wszystko nam służy i dla nas jest. Od kropli wody począwszy do kropli krwi ludzkiej, do mózgu i łzy waszej, gdzież nas niema? Jesteśmy wszystkiem i wszędzie. Gdzie u których istot co się tak chwalą sobą, znajdziesz taką rozmaitość kształtów nieskończoną, tak dziwaczne, a swobodne przemiany? Wyście tylko pastwą naszą, swiat należy do Helminthów!

Ale chóru spiewaków co ich otaczał, nie słuchały stwo-

rzenia ani ludzie; algi nad wodą kiwały zielonemi głowami a stary szczupak wąsaty który wszystkiego cierpliwie słuchał, ruszając tylko skrzelami, rzekł uśmiechając się do barona Germana:

— Miła rzecz to życie, którem się przechwalają polypy! połowa ich nie rusza się nigdy z miejsca, druga niema najmniejszego czucia, lub przynajmniej znaku jego nie daje. Wystaw sobie kochany panie, że niektórym pokarm całkiem zbyteczny; żyją licho tam wie czem, na stole cudzym nie smakując, nie gryząc i nie oblizując się. I to do czego się żaden także polyp nie przyzna, a wiem najpewniej, że wielu umiera miłości nie znając, nie mając wyobrażenia jej. Jakie życie, taka miłość!

To mówiąc a niemogąc dłużej wytrzymać na powietrzu, szczupak zanurzył się chwilę, poczem *iterum* głowę podniósł i tak mówił dalej, pokręcając wąsa.

— Przyznam się waszeci, że się bardzo dziwię, jak możecie żyć samem powietrzem? Takie to czcze, nikłe, nudne i nieposilne! I my go tam po troszę używamy, ale żeby w niem żyć całkiem i ciągle, przyznam się asindziejowi to *absurdum!*

— Masz rację, rzekł szydersko baron German, ja sam choć jestem człowiekiem, tej potrawy niestrawnej, która ci się cisnie do ust nieproszona, cierpiec już nie mogę.

— Bo cóż jest powietrze, mówił zapytując się szczupak—jeśli nie rozrzedzona woda? Co jest światło, jeśli nie rozpromienione powietrze (darujcie szczupakowi, nie uczył się fizyki) — A co jest ziemia, jeśli nie woda zgęsła znowu?

Prawda, mości dobrodzieju jest w wodzie, wszystko jest z wody, woda, przez wodę *et sic porro.*

— Najniezawodnjej, potwierdził baron, a szczupak w wodzie żyjący jest niezawodnie też królem stworzenia.

— Pochlebca! myślisz że niewiem o innych starszych i godniejszych odemnie (oprócz suma którego dziwną pretensią do arystokracji się brzydzę.)

— O starszych, ale o rybach — dodał Baron.

— To się rozumie. Ryba ma wielką oczewiście wyższość nad wszelkiem innem stworzeniem, żyje bowiem w elemencie który jest jedynym, zasadniczym.

— Wszakże i to niezgorsze jak na szczupaka dowodzenie! Szczęściem że nas powietrze nie słucha, bo by ci odpowiedziało, że woda jest tylko spalenizną i węglem.

Tomko słuchał rozpraw i milczał.

W tem wieśniacy przyszli paść woły, a bydło idąc ryczało także swoje pochwały, nie czekając końca rozmowy ze szczupakiem.

— Co za głupcy! wszakci któż nie wie że na czworonogich i ssących kończy się i zamyka stworzenie, którego są koroną. Człowiek jest popsutem zwierzęciem, które się jak szpic na dwóch łapkach skakać nauczyło i zaparł się swoich nóg i wziął na nie rękawiczki żeby nie było widać, że kopytko na pięć palców rozdłubał, tysiące lat koło niego dłubiąc.

Myśmy panami stworzenia! Kopcie w ziemię, znajdziecie tam wołu przedpotopowego, mastodonta i protopla-

stów naszych, których my jesteśmy prawem potomstwem i spadkobiercami.

Czem człowiek przy tych olbrzymach? Płonie mu iskierka jasna w kątku głowy i nią się strasznie chwali — Cha! cha! siła to życie! siła to prawda — *Słoń królem stworzenia!*

Ucichło; owce powtarzały chórem:

— Słoń królem stworzenia!

A osioł strzygąc długiemi uszami, ryczał:

— Jesteśmy z nim w pokrewieństwie — przez twardość skóry.

(Wszelka arystokracja lubi się swemi związkami wychwalać.)

Muł w tej chwili przywitał się z osłem, i dziękował mu za to że mu osioł na nogę nadeptał, szeptał bardzo grzeczniuchno ustępując się;

— *Pardon, mon cousin, vous êtes bien bon!*

Osioł odskoczył, pastuch z bicza trzasnął, i wszystko ucichło.

— Gdzie prawda? spytał German.

— Niewiem, rzekł Tomko, czekam słucham, patrzę szukam — to pewna że nie w tem cośmy dopiero słyszeli.

— Jeszcze to nie wszystko — odparł towarzysz podróży. Kształt i barwa poczną się zaraz kłócić w twojej głowie. Obejrzyj się: w jednych tworach wygórował kolor i zdaje się cechować życie, zdaje się bydź jego wyskokiem, znamieniem; u drugich zobaczysz tylko kształty i linie, któreż z nich jedyną prawdą?

— Niewiem, powtórzył Tomko — Chodźmy dalej, chodźmy dalej!

V.

Miało się ku wieczorowi, gdy podróżni wstali i pociągnęli dalej w drogę.

German von Teufel zabawiał Tomka wielce zajmującemi powiastkami; młody podróżny zaledwie ich słuchał — milczał z głową szpuszczoną.

Po drodze napotkali żebraka.

— Powiedz no mi mój kochany, dobywając kieski spytał German, nie wiesz tu gdzie ciepłego kąta, żebyśmy z tym paniczem przenocować mogli.

A nad laskiem w dali trochę sterczała biała wieżyczka wiejskiego kościółka.

— Gdzież kiedy nie u Dobrodzieja? rzekł kulawy, ciepła chata, smaczna wieczerza i miła gawędka.

— Dokąd to idziesz?

— Dokąd? z uśmiechem diogenesowskim powtórzył żebrak — jakto dokąd? albož wie który z nas dokąd i po co idzie?

Tomko pilnie się w patrywał w starca, który mu poczynał dziwnie przypominać Dołęgę, pierwszego jego nauczyciela.

— Mistrzu! zawołał nareszcie to ty! to ty!

I rzucił się ku niemu. Ty! w żebraczem odzieniu.

— Tomko mój! dalipan chłopcze wszak cię niepoznałem — z uniesieniem krzyknął stary — a tyż dokąd wleczesz się z tym szołdrą?

— Za prawdą!

— Oj daleko za katy, już mnie tam moje stare nogi nie doniosą.

— A ty?

— Ja! jak zawsze; idę by iść, bez danego celu, znajduję ich tysiące po drodze. Życie to pielgrzymka: głupi kto slimakiem chce zostać i zaskorupi się w sobie. Życie to ruch co raz nowszy. Idź mój Tomko, nie znajdziesz prawdy całej nigdzie, ale skorupki rozbitej, bo z nieba spadając na ziemię w kawałki się boskie naczynie rozpadło. Te bryzgi swiecące rozsypane są po naszej drodze.

Tomko niedosłyszał słów ostatnich; bo go pytał gorąco:

— Dla czego uciekłeś od nas?

— Dla czego woda bieży? czemu wiatr wieje? Wszystko co jest, jest i nie jest. Byt łączy się z nicością i zlewa; na co kochać czego wiecznie posiadać nie można? Idę a idę dalej a dalej; aż się gdzieś spotkam ze śmiercią i wiecznym spokojem. Prawda — to nieskończona zmiana, niepochwycona rozmaitość zawsze w sobie jedna. Nie szukaj jej ani na dnie studni, ani na górze w gwiazdach; wisi między niebem a ziemią, jedną nogą tu drugą tam. Prawda, to może środek ciężkości między materją a duchem?

Ale i tych słów niedosłyszał Tomko dobrze, bo German von Teufel śmiał się bardzo głośno, by je zagłuszyć, a uczeń zakończenie tylko schwytawszy, odpowiedział pokręcając głową:

— Nie, mój mistrzu, prawda nie może być mieszaniną

i jakemś pół-czemś, pół-drugiem; ona jest gdzieś cała, jednolita, wielka, potężna.

— Szczęśliwej drogi, rzekł Dołęga kłaniając się — przenocujcie u księdza Sycyny; widziałem gotujący się rosół! piekącą gęś, spodziewa się gości u siebie, a prócz tego toć to stary znajomy, nie mijaj go i pożegnaj przed podróżą. Bądź zdrów chłopcze, ja idę, aby iść, aby dalej. Ruch, wędrówka, to życie, to prawda. Prawda to nie twoje coś urojonego, cobyś chciał palcem rozmazać, jest w tobie, za tobą, wszędzie, ale wszędzie po troszę.

— A w Bogu cała pełna i jedyna! dorzucił ksiądz Sycyna, który ich zaszedł niepostrzeżony,

Z nim przywitawszy się zawrócili się do plebanji.

VI.

Skromne było probostwo X. Sycyny.

Nieopodal od kościołka obwiedzionego murem, w którego bramie wznosiła się ocieniona dwoma staremi lipami dzwonnica, za płotami z bzów i wirginji, stał porządny biały, z gankiem na czterech słupkach, domek. Za nim był sad cienisty; spokój do koła niego i czystość wytworna i miła jedyną jego ozdobą.

Co obiecywała powierzchowność, tego dotrzymywało wnętrze: domek był zaciszny, schludny, ciepły i wygodny, jak suknia codzienna. Na kominku palił się ogień z drewek olchowym wolnym niebiesko-różowym płomykiem, bo ksiądz Sycyna lubił ogień komina i w lecie. W pośrodku stół nakryty białym obrusem, otoczony był już krzesłami skórą wybitemi okrągłych poręczach i krzywych nogach.

Wielki stary fotel widocznie przeznaczony dla księdza Sycyny ze stołeczkiem drewnianym pod nogi, na szarym umieszczony był końcu. —

Jakim pokojem tchnęła ta cała plebanja!

Widziałeś po sprzętach, że przywykły z dawna, każde do swojego kątka; po dróżynach wydeptanych na świeżo zmytej podłodze, że każdy krok miał tu oznaczony kierunek, jak każdy przedmiot swoje miejsce, jak każda czynność godzinę swoją.

Wszystko było na miejscu.

Tomko usiadł, German przyczepił się na poręczu jego krzesła; ksiądz pleban nałożywszy myckę na uszy, owinąwszy się sutanną, zasunąwszy ręce w rękawy, zapytał go łagodnie:

— Moje dziecko, dla czego, powiedz mi, chcesz szukać prawdy zewnątrz wiary? czyż cała w niej nie jest?

— Mój ojcze, odparł za Tomka German von Teufel, wybornie naśladując głos jego; nie szukamy jej zewnątrz wiary; ale i w niej i wszędzie: — idziemy do niej drogą nową.

— Ale po cóż dobrowolnie nakładać drogi, gdy stara tak prosta i znajoma rzekł poważnie ksiądz Sycyna.

— Nie było więc jej całkiem przed objawioną wiarą, przerwał German, nie było więc prawdy na świecie lat tysiące.

— Hm! rzekł ksiądz kanonik — wszelka wiara jest objawioną; człowiek do niej siłami własnego rozumu nie przyszedł. Rozum ma to do siebie, że co buduje dziś, jutro wywraca, by znowu z gruzów nowe a nietrwałe wznosić

gmachy. Dawne wiary były przygotowaniem do jedynej do prawdziwie boskiej, moje dziecko, w której mieliśmy się szczęście narodzić. Świat więc nie był bez prawdy; on jej oczekiwał, przeczuwał ją, gotował się na jej przyjęcie. Dziś zaś już zewnątrz wiary niema, nie może być prawdy. Czegoż chcesz i pożądać możesz więcej nad to, co ona dać ci może?

— Prawdy całej, wielkiej, jasnej, ogólnej, jedynej, zawołał Tomko, którąby była prawdą dla wszystkich zarówno, wszędzie i zawsze.

— To jest — jeden Bóg tylko! odparł ks. Sycyna spokojnie.

Zamilkły; za chwilę German poprawując peruki i naśladując głos Tomka, który milczał zamyślony, dorzucił:

— Powiedz nam ojcze wielebny, co jest prawdą prawd wedle wiary?

Ksiądz kanonik ruszył ramionami.

— Zaiste, rzekł, osobliwsze pytanie, które tylko wielkiemu głupcowi przebaczonem być może, dziecko moje. Za takiego cię mając w tej chwili, lituję się nad dawnym uczniem, którego mam za *mente captum* i odpowiadam: Prawdą jest Duch.

Duch *jest;* ciało stworzone z niczego tchnieniem Bożem, tchnieniem ducha, *zdaje się być.*

Bóg jest czystym duchem, i wszelka prawda jest czysto duchowną. Wszelka materja znikomością jest, fałszem, niczem. —

Ciało: to szatan, to złość, to niedoskonałość, zgnilizna

robactwo; duch jedyną prawdą. Wszystko co jest wedle ciała ma byt przemijający, chwilowy, któren się bytem ledwie nazywać godzi: w duchu prawda, żywot i wszystko, duch jest życiem jedynem.

Ztąd już widzicie może, co wypływa dla praktyki życia: ciało winniśmy martwić, upokarzać, męczyć, nękać, uciskać, aby ducha oswobodzić. Włosiennice, posty, dyscypliny, oto sposoby przeciwko ciału — szatanowi. — Odmawiać mu potrzeba wszystkiego. Starzy mawiali *non sine causa:* ujmij ciału obroku a dusza będzie syta — pokarm bydlęciu, a duszy słowo przystało.

— Cha! cha! zawołał German — czemuż Jegomość nie zostaniesz anachoretą, zenobitą, i nie ujmiesz sobie wygódek? po co się gęś piecze na rożnie a rosół tłusty warzy w garnuszku?

Ks. Sycyna westchnął głęboko.

— Duch mocen jest, ale cielsko słabe, rzekł po cichu rumieniąc się.

Tomko potrząsnął głową i dodał — prawdy więc waszej którą drugim dajecie, nie bierzecie dla siebie, nie spełniacie jej ściśle?

Na tą niespodzianą wymówkę, odwrócił się z politowaniem uśmiechnąwszy kanonik.

— Bóg, rzekł, sądzić nas będzie, nie wedle słów ale wedle uczynków naszych; każdy czyni co może i ile podoła.

— Tak, tak! rzekł przedrzeźniając German.

W tem wtoczył się ksiądz Dziekan oczekiwany na wieczerzę z proboszczem sąsiedniego kościoła. Zaczęto się witać i

o potocznych rzeczach rozmawiać. Tym czasem burza szalona, wściekła zrywała się na dworze, wiatr trząsł oknami rzucał staremi okiennicami, i miotał drzwiami plebanji. Wkrótce za dziekanem, zajechała bryczka wiozącą Protojereja blizkiego monasteru; a jakby naumyślnie w ćwierć godziny potém przywlókł się zmokły od deszczu, przestraszony grzmotami, wzywając gościnności Pastor protestancki, niewiadomo zkąd i dokąd dążący konno sam jeden.

Ks. Sycyna z właściwą sobie łagodnością i dobrocią przyjmował wszystkich, choć ciasno było w plebanji od tych w części nieproszonych gości, i trzeba było zabić drugą gęś i drugą kurę do stołu.

U wieczerzy przy lampeczce miodu starego otwarły się usta wszystkim i z opowiadań w początku obojętnych łatwo przeszli do dysputy dogmatycznej.

Wszyscy się do niej wmięszali, a German von Teufel siedzący za krzesłem Tomka uwieszony na jego poręczu, paplał mieszając pytania i gmatwając odpowiedzi.

. . . .

Nikt nikogo przekonać nie mógł — jeden poczciwy ks. Sycyna przez cały czas dysputy milczał ruszając ramionami i modląc się po cichu.

Przykład jego wzbudził pomiarkowanie we wszystkich, spojrzeli, zawstydzili się i ucichać poczęli.

Nie w smak to poszło Germanowi: rozżarzył spór znowu

wrzuconem rozpalonem słowem; zawrzała dysputa na nowo. Protestant wynosił rozum ludzki, w któren jedynie wierząc jak w Boga, sędzią go czyniąc wiary, podnosił do Bóstwa ludzkość i ocierał się już o nieuchronny pantheizm. Katolik znowu odrzucał go całkowicie, mieniąc narzędziem *rozumienia*, nie *rozumowania*. Powstały sprzeczki o łasce, o predestynacyi, o pochodzeniu osób w Bogu, nareszcie o samych nawet obrzędach.

Dysputa już groziła przerodzeniem w swar nieprzyzwoity, gdy dowcipny Protojerej nie lada człowieczek, figlarz wielki, który zawsze zdawał się żartować, choć ciągle miał łzy w oczach, przerwał:

— Zgoda mości panowie, zgoda! i zdrowie przeciwnych ludzi! Godzim się wszyscy na chrześciańską moralność, jeźli nie na znaczenie i wartość uczynków — to dość na dziś, a jutro przyjdzie reszta.

— Więc moralność, to jest czyn, byłby jedyną prawdą? szepnął w ucho German Tomkowi uprzedzając jego uwagę. Ba! ale tę moralność każdy inaczej tłumaczy, rozumie i ceni, w miarę jak każdy inaczej to, z czego ona wypływa, określa.

A ściśle zachowaną moralność chrześciańską gdzie znajdziesz?

Mówiemy o poświęceniu które jest zasadą moralności chrześciańskiej, któż się dziś poświęca? Mówiemy o poskromieniu ciała i zaparciu się go, któż się dziś nie pieści? Mówiemy o obowiązkach względem bliźniego, a któż dziś

nie ma sobie za największy obowiązek z bliźniego korzystać? Każdy w ustach ma ewangelję dla drugich a w sercu nie chowa jej dla siebie, tak jest, począwszy od największych do najmniejszych.

Gdzież miłość, ta wielka spojnia, ten wielki węzeł braterstwa, których w katakombach łączył pierwszych prześladowanych? gdzie pobłażanie, łagodność, przebaczenie, pobożność i prostota duszy?? w słowach tylko, tylko w słowach!! —

Tomko dokończywszy tych wyrazów poczętych przez Germana, westchnął, spuścił głowę i umilkł.

Baron von Teufel rozśmiał się serdecznie.

— Co to za jeden? spytał trącając łokciem księdza Sycynę, przybyły Protojerej.

— Biedny obłąkany chłopiec, który idzie w świat szukać prawdy.

— Cha! cha! rozśmiał się gość dowcipny — Co za zjawisko! A to nieoszacowane moralne monstrum, które warto dać pod słój w anatomiczno-psychologiczym gabinecie! — Jest to coś na kształt tego, jakby szedł kto szukać siebie Biedne chłopię! Cóż to się mu stało? jakaś kommocja mózgowa?

— Dziwnym wypadkiem zakręciło mu się w głowie z czytania czy z myślenia; i szuka jakiejś prawdy absolutnej, którą bardzo wątpię, żeby mógł znaleźć kiedy, niedoszalawszy wprzód zupełnie.

— Na tamten by go świat wysłać! rzekł Protojerej z uśmiechem łzawym.

— Do czubków mościpanie, do czubków, dołożył dziekan — a wodą obficie głowę polewać.

Protojerej przysunął krzesełko do Tomka i zapytał go:

— No! a zatem w drogę?

— Tak jest, i w daleką zapewne.

— Dalszą niż Krzysztofa Kolumba i Ferdynanda Korteza. Żaden *Conquistador* płynący ku marzonym złotym grodom nie wybierał się ani dalej, ani awanturniej od pana. *Goddam*, jednego świata będzie ci za mało, należy się wcześnie przygotować i z Astolfem ruszyć na księżyc — bez przymówiska.

Tomko się boleśnie uśmiechnął.

— Przygotowany jestem, rzekł, na długą wędrówkę — któż wie jednak, byłbym może z plebanji do domu powrócił gdybyście się panowie wszyscy byli na jedno zgodzili.

Protojerej szepnął na to:

— Co chcesz kochanku! Przecież w ostatku *en bons confrères* powiedzieliśmy sobie to, co w Moljerze mówią dwaj lekarze — Ale dajmy pokoj temu. Czy nie zdałyby ci się duszeczko listy rekomendacyjne? spytał wesoło.

— Czemuż nie? Na księżyc? Może mi ztamtąd jaki słoik przynieść każecie? szepnął głosem Tomka German.

— Złośliwy! pomściłeś się! Jutro siadam i piszę polecając cię dawnym towarzyszom moim, dziś podobno nauczycielom Akademji; boć i do nich zapewne wypadnie zapukać po prawdę!

— Choćby tylko dla tego, żeby nikogo nie minąć! Prosiemy o listy.

— Jutro będą gotowe! Co za pociecha dla nich. Takie odwiedziny nie codzień się zdarzają.

Długo w noc trwała jeszcze ożywiona rozmowa, poczem, wszyscy spać się rozeszli. German Baron von Teufel zwinał się w kłębuszek misternie i położył na piersiach Tomka który sen miał ciężki i niespokojny. Gęsta peruka Germana nazbyt rozpalała mu piersi.......

VII.

Nazajutrz rano pożegnawszy ks. Sycynę i gości, wziąwszy kij w rękę pielgrzymi, Tomko w dalszą ruszył drogę. German Teufel wdrapał się na tłomoczek jego, objął cienkiemi nóżkami, i bawiąc się jasnemi puklami włosów młodzieńca rozwianemi od wiatru, wygodnie tak na barkach jego podróżował dalej.

Do koła kraj był piękny i żyzny ale w ruinach. Z każdego pagórka policzyć mogłeś najmniej jeden dom boży, dom pański, dom szlachecki i jedno miasto walące się w gruzy. Suche kościotrupy murów sterczały patrząc próżną okien wydartych źrenicą; tylko sioła czarne odwieczne poprzyczepiane do ziemi, przylgłe do pól zielonych, żyły jeszcze i oddychały. Po drodze wśród zwalisk i rumów potrącali nogą drogie pamiątki już szybko w prochy rozsypującej się przeszłości. Tomko płakał a German śmiał się mówiąc: Dobrze tak! dobrze tak! ten gruz to nawóz przyszłości!

Na zwaliskach handlarze niecni targowali się z przychodniami bez imienia, odstępując im za lichą cenę, co w nich jeszcze na coś przydatnego znaleść się mogło. Przekupnie

i kupcy pili i grali w karty rzucając losy na ostatki o których roztarganie nikt się upomnieć nie myślał.

Lecz widok ten trwał krótko.

W polu napotkali wieśniaka, który był usiadł pod drzewem spocząć, wyorawszy połowę swojego zagona.

Tomko, który nikogo pominąć nie chciał, wiedząc, że często niespodziewanie na wielki skarb natrafić można; zbliżył się ku niemu.

— Mój bracie, rzekł, pozwól mi spocząć przy sobie i pogadajmy.

— Z duszy serca paneczku, robiąc natychmiast miejsce, odparł chłopek. Siadajcie tu sobie pod moją gruszą staruszką, jeżli się wam podoba, a gdybyście pozwolili podzieliłbym się z wami chętnie chlebem czarnym i słoniną.

— Dziękuję ci, Bóg zapłać, pozwólcie wy raczej, abym przełamał z wami mój chleb biały i sér zawiędły.

Z razu trochę zmieszany, nie swój i nieufny chłopek wkrótce swobodniej rozmawiać począł.

Zajeżdżał go z różnych stron Tomko, chcąc się dowiedzieć co od niego o prawdzie; ale go wieśniak nie mógł zrozumieć, chociaż to był nieciemny pospolity prostaczek od pługa; ale stary niegdyś żołnierz i dworak, nieco nawet piśmienny człowiek, który powrócił do roli z ochoty.

— Prawda! prawda! mruczał jedząc i kiwając głową — Ba! panku, chcecie wiele wiedzieć. A któż to może wiedzieć gdzie się ona podziewa? Jeśli przecie dość wam będzie jednej prawdy z tych wielu co po świecie chodzą, to ją wam powiem chętnie.

— Słucham ochoczo — mówcie.

— Ot chcecie wiedzieć, że niema jak my, jak lud, rzekł wieśniak — Wy panowie jesteście fałszem, naroścą na naszej skórze, grzybem urosłym z pleśni na barkach ludu. Patrzcie jeno gdzie żywiej biją serca, gdzie rączej wyciągają się dłonie ku pomocy wspólnej, gdzie się ochoczo dzielą odrobiną od ust odjętą; zkąd płyną łzy, zkąd płynie krew, pociecha, jałmużna i czyn miasto czczego waszego słowa — od ubogich i od ludu!

Religia Chrystusowa tu tylko się wypełnia, gdzieindziej, u was, rozumują o niej ślicznie, ale jej niesłuchają. Panowie, bogaci, obojętni są na wszystko, zestarzeli na duszy, zimni, samolubni i szydercy. Oni nie wierzą w nic, nic nie kochają, niczego nie szanują. Wzbudzić w nich zapał, iskrę szlachetnego poświęcenia z nich wykrzesać — niepodobna! Życie jest w nas, w nas prawda!

Tomko poruszony głęboko tą mową niezwyczajną w ustach wieśniaka, ścisnął jego rękę, a on mówił dalej.

— Przyszłe losy ludzkości, nie spoczywają na martwych pniach, na spruchniałych kłodach, na tych, których zowiecie panami, a oni nawet panami samych siebie być nie umieją. Co z nich wydobyć? Jak z pruchna ogień wykrzesać? Świeci się to po nocy, ale świeci może dla tego właśnie, że gnije — jak pruchno. Młodość, zapał, nasienie czynu u nas, w nas są tylko.

German von Teufel wiszący na gałęzi nad głową Tomka począł się śmiać do rozpuku, śmiać się tak szalenie, że

spadł na ziemię z drzewa i przewracając po murawie, trzymał się z całych sił za boki, żeby mu nie popękały.

— Czego ty się śmiejesz? spytał go Tomko.

— Ba! zobaczysz! Oto właśnie idzie drogą jeden z moich dobrych starych znajomych Hrabia Krzywulec. Idźmy ku niemu na przełaj i rozmówmy się z nim. Nie wiem, jak ci się potem wyda mowa wieśniaka!

To mówiąc, pociągnął za połę Tomka, szarpnął go i zmusił iść za sobą pospiesznie, tak że wkrótce napędzili Hrabiego na gościńcu.

VIII.

German Baron von Teufel, znać dobrze Hrabiemu znajomy, podawszy mu rękę i przywitawszy go zaczął coś szybko szeptać mu w ucho śmiejąc się co słowo prawie. Potem przedstawił Tomka jako przyjaciela, szlachcica z antenatów i dodał:

— Hrabio! mieliśmy właśnie utarczkę z tym panem. — Rozwiązać ją może twoja cudna teorja arystokracji. Uczyń to dla mnie i chciej ją na pożytek nasz duchowny w krótkości rozwinąć.

— Czas piękny po wczorajszej burzy, odparł Hrabia od niechcenia spoglądając na Tomka, konie moje pójdą powoli pod górę; a ja żądaną teorję opowiem wam, moi kochani, w kilku słowach.

To mówiąc poprawił rogatej czapeczki, jeszcze raz badawcze rzucił spojrzenie na Tomka i tak począł:

— Arystokracyjny element jest wszędzie, arystokracja znajduje się w naturze samej z jakiejkolwiek na nią stro-

ny spojrzeć zechcecie; ona jest w każdej klassie stworzeń wyborem, kwiatem, ideałem rodzaju. Znajdziesz arystokracją w zwierzętach, ptakach, roślinach. Krowy tyrolskie i gwoździki kapucyńskie są arystokracją wśród innych krów i gwoździków. Pszenica sandomirska jest arystokracją przy ukraińskiej i bessarabskiej.

Zasadą arystokracji jest ta niezaprzeczona prawda, że nie wszystkie indiwidua jednego rodzaju mogą być i są w istocie równe sobie. Nierówność suponuje wyższość jednych niższość drugich. Ta wyższość, ta arystokracja w rodzaju, (pojmujecie łatwo) jest jedyną prawdą, jedynem urzeczywistnieniem ideału bożego, reszta pozostaje tylko niejako nieszczęśliwą próbą, która się nieudała. Człowiek ideał, człowiek *per excellentiam*, człowiek jak go Bóg mieć chciał, jest pomiędzy nami tylko. My jesteśmy tyrolską krową, wsród pospolitego bydła. Z resztą gdzie uczucia wyższe, szlachetniejsze, podnioślejsze, jak u nas.? Gdzie pojęcia piękna, potęgi, siły, ślachetności; pojęcia drugiego świata będące przeczuciem — jeżli nie u nas?

Barwy kwiatów wyrastających na jednej łodydze są nierówne.

— Dotąd mówisz Hrabio tylko o arystokracji indywidualnej, ślepy by jej chyba nie zobaczył.

— I nie widzę potrzeby dodawać, że ogrodnik roztropny z piękniejszych kwiatów zbiera tylko nasienie, opuszczając póżniej, lub nikło rozwinięte nawet jednej latorośli (oto zasada prawa pierworodztwa); nie widzę potrzeby dowodzić, że exystują rassy, że jest krwi i cnót dziedzictwo.

Wyższość umysłowa gdzież jeżli nie u nas? Wszystko co lepsze, większe, wznioślicjsze od nas wyszło i do nas idzie. Co było — to arystokracja wspomnień, rodu; co jest — to arystokracja żywa, dobijająca się; co będzie — to arystokracja przyszłości, to jej nasienie. W tej klassie jest jedynie prawda społeczeństwa, jest człowiek ideał.

Uczucie piękna, to uczucie—przeczucie niebios, ta tęsknota do doskonałości, która szuka wdzięku formy, aby jej przypominała piękność wieczną ojczyzny niesmiertelnej — gdzie je spotkasz wyrobione do tyla co u nas? Piękne formy żywota towarzyskiego, owe konwencje na które sobie krzyczycie, nie są li to ofiary dla uczucia przyzwoitości, dla ideału społecznych stosunków. Myśmy ofiarnikami piękna ślachetności, godności; reprezentantami żywota idealnego na ziemi. Wszystko aż do naszego wykwintnego stroju jest tęskną pogonią za niepochwyconym ideałem. Dla czegoż cokolwiek się z tłumu wyniesie dąży do nas, bodaj od pługa i roli wstał wyższy głową od braci człowieczek, czemuż ciągle zegluje ku nam? Bo u nas czuje wyższość, żywot, prawdę.— Arystokracja ma wrodzone monopoljum myśli ślachetnych, czci piękna i —

Hrabia mówił, a German szeptał w ucho Tomkowi — Uważaż jak on przypomina wołu, który się chciał od mastodonta wywodzić.

Tomko z politowaniem poglądał na Hrabiego a ten ciągnął dalej zapalając się własnem dowodzeniem.

Dziesiejszy wiek przeczy wszelkiej arystokracji ale to

najwyższe głupstwo ubrane w szaty pozornej sprawiedliwości. — Gdzie światło? gdzie siły ducha? gdzie wszystko dobre? jeśli u nas. Nam wybranym rodzaju ludzkiego, nie powinieńże służyć cały rodzaj ludzki, nie jesteśmyż ogniskiem wszystkiego, celem ostatecznym stworzenia, koroną świata? Krzyczycie na ofiary z ludu czynione! zawsze Bogowie ofiar krwawych wymagali, bo się im należy. Massy! massy! wołacie, cóż to massy? Tłuszcza bez myśli, gmin bezmózgi, szuja jednem słowem — wybranemi my jesteśmy. Obrońcy praw ludu są obrońcami ciemnoty, materjalizmu; niwelujący ludzkość są nieprzyjaciołmi genjuszu i wszelkiej wyższości; a że ona reprezentuje Boga na ziemi, są więc *ipso facto* nieprzyjaciołmi samego Boga.

Gdy tak idąc ścieżką słuchają, a Hrabia to poprawując czapki, to ręką żywo gestykulując głośno rozprawia; zjawił się w pośród nich Dołega, jak wczoraj po żebraczemu ubrany, a pokłoniwszy się skinieniem głowy Tomkowi i Germanowi, zagadł bez ceremonji Hrabiego.

— Hrabio, rzekł, słówko — zkąd arystokracya pochodzi?

— Ha! mówiłem wam przecie z wyższości indiwiduów, która niepojętemi dla nas drogi przelewa się na potomków w ród i ze krwią płynie.

— Z wyższości! ha! to prawda! rzekł Dołęga, ale z jakiej?

— Wszelkiej, jaka tylko być może. W pierwszych wiekach, jak wiecie, urodziła się arystokracya z siły pięści, najsilniejszy stał się najmożniejszym a najmożniejszego potomkowie, nasieniem panów —

— O! do djabła Hrabio! zakrzyczał German zjechałeś z drogi i zawadzisz o pień. Jest w piśmie świętem wiele znacząca powieść o Samsonie, pewnieś jej nigdy nie czytał.

— I owszem.

— Samson miał siłę potężną, ale że mu podobno oleju w głowie brakło, że się dał podwice za nos wodzić, że nie miał siły ducha, wyższości jego i niepodległości, musiał młyny obracać Filistynom, i siła wielka nie na wiele mu się przydała. Brednie to są, co Wasza Miłość mówicie o sile pięści. Jedyną siłą jest siła rozumu, siła ducha i wyższość umysłowa. Od niej to pochodzi wszelka arystokracja.

— Ha! ha! rozśmiał się Hrabia — taką rzeczą Platon i Arystoteles powinni byli —

— Nie przerywaj pan! dorzucił Dołęga, oni są w istocie arystokracją całej ludzkości, całych wieków. Wasza arystokracya rodu gniła i nikczemna! Wyższość umysłu, siła ducha, powinna być znamieniem arystokracji, bez niej nie ma tylko nadużycie i przesąd. Gdzie tylko panowie stracili wyższość tę, gdzie przestali spełniać missję daną im przez opatrzność prowadzenia niższych od siebie do umysłowej, duchowej wyższości; tam, jak u nas, domy ich pustką, herby gniazdami wróbli, ród pośmiewiskiem, a groby oplwane —

— Za pozwoleniem, rzekł Hrabia — prostując się, arystokracja jest trojaka: pieniężna, rodowa i umysłowa —

— Stara i oklepana brednia! panie Hrabio. Do zrobienia pieniędzy potrzeba najprzód głowy; kto nie ma głowy, choćby go rodził Montmorensy nic nie będzie znaczył na

świecie, a z głową, z duchem, z wyższością umysłową, pierwszy chłop lepszy od ciebie mości Hrabio.

— Ale dajciesz mi pokój! niemam czasu! zawołał Krzywulec — dajcie mi pokój! Durzycie mi głowę niepotrzebną rozprawą — jadę właśnie i śpieszyć muszę na radę familijną do księcia S. — dajcie mi pokój.

— Tylko słówko jeszcze, zatrzymał Dołęga — myślicie więc hrabio, że arystokracya samą siłą wspomnień żyć może?

— Bez wątpienia! Jej wyższości znamieniem są małe rączki i drobne nóżki; dopóki te trwają —

— Z małemi rączkami i drobnemi nóżkami pójdziecie gdzie się wam ani jedno, ani drugie na nic nie przyda. Chcecie żyć? — stańcie na miejscu to jest na przedzie! Pracowaćby wam potrzeba, poznać błędy swoje, oziębłość, zastygnienie, rozwiązłość, płochość, dumę, uderzyć się w piersi i powrócić z pokorą do dawnej missji: wieść braci do udoskonalenia moralnego, przykładem, czynem. — To da wam nowe życie. Dziś żyjecie tylko sobą i dla siebie, odcięci od reszty społeczeństwa, trupem jesteście i zgnijecie. — —

— Pierwsza szlachta, odparł Hrabia spluwając i spiesząc do swego powozu; pierwsza szlachta tegoczesna powstała i urosła w wojnach krzyżowych, temu nie zaprzeczycie? Choć wedle mnie idea szlachectwa stare jest jak świat, ale historycznie z dzisiejszego stanowiska? —

— Niech i tak będzie.

— Gdzież w krzyżowych wojnach, w wojnach jakich-

kolwiek, które zrodziły ślachtę, jest spełnienie owej missji — prowadzenie niższych ku udoskonaleniu, ku wyższości?

— Hrabia tego nie widzisz?

— Nie, mości panie, wyznaję —

— Oto najprzód przykład Krzyżowca uczył wielkości i świętości obowiązków: widzieli go ludzie poświęcającego siebie, życie, mienie dla idei jednej, dla wiary! To pierwsza; powtóre: Rycerz brał za giermka, za pacholę, za sługę często od pługa i roli człowieka, którego wiódł w świat z sobą, uczył go uczuć rycerskich, uczył go pogardy śmierci, honoru rycerskiego, poświęcenia, za wiarę, za słabych, za coś niematerjalnego, a nad wszelkie dobro ziemskie ważniejszego, słowem uczył go *poświęcenia*. Ten wojak okulały może lub oślepły powracał do domowej zagrody; a co wniósł wspomnień pod strzechę, to było jego nabytkiem, niemi on oświetlał rodzinę swoją. Co wlał we wnuki swoje, to o szczebel chociażby pragnieniem tylko, podnosiło ich wyżej.

Potomkowie naszej ślachty czego uczą tych ubogich, ktorych do siebie biorą i płaszczem łaski okrywają. Najgorsi uczą ich kart, rozpusty, próżniactwa i szyderstwa, dumy i zarozumienia; najlepsi — uczą robić cukier burakowy!! Wątpię Hrabio, żeby nawet Książe — który tylu ślachty używa do swych ogromnych fabryk, spełniał swoją missję jak należy. Cukier jest rzeczą doskonałą, ale nieprowadzi do niczego więcej, krom pieniędzy.

— Tandem, bądźcie waszmość zdrowi, nie mam czasu, rzekł pogardliwie Hrabia, kończę faktem: rozumowania

wszystkie zbić można i rozumowaniami siakiemi takiemi co chęć pobudować, ale fakt jest to mur żelazny. Po kiego djabła ciśniecie się wszyscy do nas i czapkujecie arystokracji, kiedy ona tak zgniła i strupieszała? *Adieu! adieu!*

Rzuciwszy tę racę kongrewską na obóz nieprzyjacielski, Hrabia skoczył do powozu. — Żebrak szydersko nań spojrzawszy usiadł na drodze z westchnieniem, a Tomko zastanowił się w niepewności co miał z sobą począć. Tym czasem German otrzepując żaboty z tabaki, którą właśnie obficie nos poczęstował począł mu szeptać:

— A co kochanku?

— Jestem jak w lesie, im dalej, tem mniej rozumiem gdzie prawda, i co nią jest wyłącznie?

— A zatém?

— Idę dalej.

— I ja z tobą serce moje. Ciekawy jestem djabelnie na czem się to skończy; a przytem zajmuje mnie silnie twoja naiwność i poświęcenie — Pójdziemy więc dalej.

— Żal mi tylko porzucać Dołęgę.

— Ba! starca! Starość to już nie życie prawdziwe, to zachód słońca skrzepły i zimny, szanujmy ją, ale zbyt jej nie wynośmy. W młodości to, w tobie jest prawda żywota: młodość to nadzieja, pragnienie, czyn; starość żyje tylko łupinami i odrobinami. To konanie dogorywającej lampy.

— O mądry doktorze niemiecki, rzekł rozwalając się na trawie Diogenes — Dołęga — któż to ci powiedział? Mło-

dość to życie ciała, starość to życie duszy. Ustały burze cielesne, zcichły namiętności, spi mięso, a podniosła się dusza, a żyje doświadczenie, a świta mądrość. Kajdany spruchniały i rozleciały się — swoboda umysłu zdobyta. Starość to dopiero żywot prawdziwy......

— No! i gadajcież! tak ślicznie zdaje się wyrozumowałem! zawołał śmiejąc się German. —

Tomko spoglądał na obu, brał za kij i wybierał się iść.

— Idź, idź! rzekł do niego Dołęga, nie obawiaj się, ja cię dopędzę jeszcze. Dokąd młody dobieży pędząc zdyszany, stary przywlecze się powoli nieznużony, silny, wytrwalszy: młody niewie dokąd idzie; stary upatrzył cel, dąży ku niemu, oszczędzi drogi i stanie wprzódy od niego. Ruszajcie sobie, ruszajcie!

German na pożegnanie chciał poczęstować rapą Dołęgę, ale stary żebrak pokazał mu figę. Niemczyk ukłonił się grzecznie, schował tabakierkę i poskoczył Tomka dopędzać.

IX.

Byli jeszcze nie o podal od domu.

Jakieś tęskne uczucie odwracało Tomka ku niemu, ale inne silniejsze parło go wprzód w nieznany mu świat. — Przecież, mówił w głębi duszy, dowiem się kiedyś, co jest prawdą. Tyle sprzeczności, tyle co krok spotykam prawd najróżniejszych, które jedna drugą spychają, zbijają, unieważniają, że wreszcie gdzieś muszę wynaleść prawdę jedyną, absolutną, wielką jak świat, co będzie wszystkich sprzeczności kluczem, wszystkie je zgniecie i rozbije a na

gruzach usiędzie na tronie jasności i chwały wiekuistym, nieporuszonym!

— Tak jest! szepnął German, chodź tylko braciszku, chodź dalej, zobaczysz że taki musiemy odkryć tę Amerykę marzeń naszych. Jużeśmy się i tak bardzo wiele w krótkiej naszej nauczyli podróży, to jest że nic jeszcze nie umiemy.

Gdy to mówili, nadszedł wiaterek który po drodze piaskiem kręcił, a German poskoczył ku niemu wywijać z nim obertasa; Tomko tym czasem, któren czuł coraz silniej jak ciężko mu było znajome opuszczać miejsca, oglądał się, ociągał i zastanawiał.

Serce mu wyraźnie mówiło tęsknoty pełnym głosem: Po co iść dalej? wnijdź w siebie i spojrzyj w niebo!

W tem:

— Dzień dobry! ozwał się głosek srebrzysty.

Był to głos dobrej a pięknej Małgosi, a Małgosia była córką sąsiada państwa Prawdziców starego Ossoryi i towarzyszką lat Tomka dziecinnych.

Świeża jak różany pączek (choć to bardzo stare i nieświeże porównanie) wesolutka jak wróbelek, woniejąca młodością, jaśniejąca sercem, dziewczynka uśmiechała się białemi ząbkami do lubego jej Tomka. Wracała właśnie z odpustu na Zielną obchodzonego w pobliskim kościółku gdy ją Tomko napotkał. Z podziwieniem podniósł na nią oczy bo się jej zobaczyć nie spodziewał, bo się z nią pożegnać — zapomniał.

— Dokądże to Tomku? spytała śmiejąc się jeszcze —

O! już po odpuście w Gruszycy, spóźniliście się po swojemu, o dniu zapomniawszy.

— Ja bo nie idę na odpust, odparł Tomko zafrasowany.

— No a dokądże?

— Na naukę!

— Jakto na naukę? zawołało dziewczę poklaskując w dłonie — Terminować! Ty! ty ślacheckie dziecię! a co! Boże miły! cóż to jest? Na naukę! A czeg to myślicie się uczyć na szerokim świecie?

— Nie terminować, ale uczyć się idę — Małgosiu?

— Słyszę, ale czegoż?

— Prawdy! rzekł Tomko cicho, smutnie i jakby zawstydzony.

— Moj Boże! a w domuż? nie możnaż się jej było nauczyć z Ewangeliczki i Ołtarzyka?

To mówiąc Małgosia usiadła na trawie i spoglądając w oczy Prawdzicowi, tęskno pytała go dalej, łzy kryjąc ręką i chustką.

— Kochany Tomku, a nie żal że wam odchodząc nikogo? niczego? Spojrzała na niego ukradkiem, chłopiec spuścił oczy, zarumienił się i odpowiedział.

— Cóż żal nada, żal mi was wszystkich a pójdę dla tego.

— O! to wam nie żal nas, to nas e kochacie —

— Ale powrócę?

— Tak! starym na sercu, zimnym i zmęczonym. O szkoda mi ciebie, szkoda! I spojrzała nań znowu, aż oczy ich się zbiegły w wejrzeniu —

Zdawało się dziewczynie że przeszyła go wzrokiem do głębi duszy i zbliżyła się pewniejsza zwycięztwa.

— Zostaniesz z nami, rzekła — nieprawdaż? I drżącą ręką chwyciła dłoń jego zimną — Pamiętasz nasze wieczory na ławce przed domem; szum jodeł naszego ogródka, lipy naszej pasieki, gołębie ulubione, cośmy je karmili we dwoje, piosnki naszego dzieciństwa tak rozkosznie smutne i tę obrączkę z włosów, którąś się ze mną zaręczył?

— Pamiętam! pamiętam! i powrócę Małgosiu — i znowu szumieć nam będą jodły nasze, kwitnąć lipy stare, gruchać gołębie i śpiewać będziemy piosnki dzieciństwa i zamienim wieczne obrączki —

— Ale ja niechcę żebyś odchodził! dodała żywo dziewczyna! — ja niechcę, niechcę! Tęskno mi będzie po tobie i płakać będę samotna i zapłaczę się wyglądaniem. A! powiedz mi, powiedz jestże szczęście wyższe nad to, które daje życie spokojne i sumienie czyste, szczęście któremeśmy jak złotem jabłkiem bawili się w dzieciństwie, jestże życie nad życie we dwojgu i w kątku?

Tomko milczał uparcie, łza mu się kręciła po powiece, z serca się dobywając, lecz razem myśl samolubna do ust sypała mu słowa:

— Małgosiu — ja chcę szczęścia takiego, ja po nie powrócę, ale chcę prawdy!

Ona spojrzała, opuściła ręce, potrzęsła głową z politowaniem i zapłakała. . .

— Biedny Tomko! odezwała się — tyś chyba chory! Co to tobie? tyś chory pewnie! Iść w świat, a za sobą

zostawiać serc dwoje, i więcej może, co cię tak wiernie, tak jedynie kochają . . Myślicież że co potrafi nagrodzić skarb taki? — Słyszałam raz w Ewangelij, którą czytał organista w wielkim tygodniu, że jakiś pogański czy żydowski książe pytał się Chrystusa — Co jest prawda? Lecz od czasu jak nam pan Bóg na świat przyszedł i umarł za nas, czyż jeszcze powtarzać można to pytanie? O! tyś chyba chory, tyś obłąkany! Prawda! a! to młodość zielona, pełna wiary, nadziei, miłości Boga i ludzi — prawda to nasze wiejskie życie, prawda to żywot spokojny w kwiecistych sadach, na złotych łanach naszych! Myślicież, że co lepszego znajdziecie gdzie nad prawdę miłości, wiary i nadziei?

— Niewiem, rzekł Tomko wzruszony, ale niespokój, żądza jakaś niepojęta mnie pędzi.

— Zły to niepokój, zła to żądza — ciekawość wiedzie do piekła, odparło dziewcze — Wierzyć i kochać czyż nie dość?

— A! dla mnie biednego nie dosyć!

— Biedny Tomku — Dalekoż tak iść myślicie niewiedząc po co i czemu?

— Gdzie oczy poniosą, dopóki nie dowiem się prawdy. Małgosia zafrasowana chwyciła się za głowę.

— Pożegnajmyż się, rzekła cicho, bo Bóg tylko wie kiedy i z czem powrócicie — O! żal mi ciebie, żal mi ciebie serdecznie.

— Żal ci?

— O! srogi żal, za tobą, za rodzicami twemi — żal mi i siebie, bom cię kochała, jak siostra nie będzie rodzona.

Nie lepiejże było, w cichości co Bóg dał używać, kochać i w niebo patrzeć — Jestli to fałsz i zmyślenie?

— A! ty mnie nierozumiesz Małgosiu!

— Może. — Głową, nie, a sercem jeśli nie pojąc czemużbym się domyśleć nie mogła?

— Co mówisz jestto szczęście tylko — odparł Tomko, ale nie prawda. Czemuż są szczęścia inne, czemu jest ich tyle? Więc to, które posiadamy nie jest wyłącznie prawdziwe?

— Juściż to nie jest niebo — odparła dziewczyna, tam tylko jedno będzie szczęście dla wszystkich —

— Tam! tam! czemuż zrozumieć nie można tego co nas otacza?

— Zachcieliście, toć próba tylko! toć żywot znoju i pokuty, a gdy przy nich zaświta nam słoneczko na chwilę, wiatr nas orzeźwi, czyż nie dosyć?

— Bądź zdrowa Małgosiu!

— Idziesz więc?

— Muszę.

— A! bywajże zdrów. Wróciwszy pójdę do rodziców waszych i będę się starała ich pocieszyć w samotności, w opuszczeniu. Nie masz serca że nas tak porzucasz! o nie masz ty serca.

Tomko stał nieporuszony. — Niech ci Bóg przebaczy rzekła ze łzami dziewczyna; my za ciebie modlić się będziemy; daj Boże byś powróciwszy nie był już niezdolny do naszego szczęścia i nie pogardzał nami, żeby ci duszno tęskno, smutno ze staremi przyjaciołmi nie było.

Jeszcze mówiła i płakała, gdy Tomka pochwycił Baron German pod rękę i świszcząc obertasa pociągnął go gwałtownie za sobą; ręką tylko pożegnał Małgosię, która stała ze łzą w oku i z przestrachem w sercu.

X.

Tomko tedy podróżował dalej a dalej zawsze w towarzystwie Barona, który uprzyjemniał wędrówkę, arcy-nauczającą rozmową o cudach Bożego świata, bo go zkońca w koniec przeszedł i znał doskonale.

Nieszczęściem, czego ta rozmowa najwięcej Tomka uczyła, to coraz mocniej wątpić o wszystkiem; wstrząsała nim, rzucając go z jednej w drugą ostateczność. Obrazy świata zręcznie stawione przeciw sobie, pełne były niezliczonych sprzeczności — Co w nich było głównem? co ubocznem? co prawdą? co fałszem i przyrostkiem? Tomko rozróżnić nie mógł.

German zażywając tabakę, udawał dudka wyśmienicie i powtarzał — Niepojęte! niepojęte! Tak szli aż do miasta które owego czasu sławne było ze swej Akademii i nauczycieli, gdzie się wiele uczyło młodzieży, zkąd jak z ogniska tryskała światłość na okół kraju.

Postrzegłszy miasto Tomko ze ściśnionem sercem, z jakąś nieopisaną tęsknotą pomyślał dla pocieszenia się: — Tu przecież znajdę czego szukam, ci mędrcy powiedzą mi, co jest prawda? Jeżli nie wszyscy o niej wiedzą, choć jeden przynajmniej doszedł może co ona? I wrąc z niespokojności wszedł do miasta.

Zaraz u wnijścia to życie miejskie, porównane w duszy zżyciem wioski, wyzwało wnim nowe z wątpliwością pytanie:

— Który z tych dwojga żywotów jest prawdą?

Owli żywot wsi spokojny gdzie wszystko w swojej godzinie przychodzi, życie płynie niepostrzeżone, powolnie, cicho, jednostajnie i błogo; czy miasta wrzący, namiętny, szybki i nowemi wrażeniami, nowemi coraz wypadkami osnuty.— Jestli prawdą życie wiejskie całe w obliczu natury upływające, czy to całe w obec samych dzieł człowieka, wktórem Bóg znika, a stworzenie króluje.

Nim sobie Tomko to pytanie rozwiązał, już go wir miasta pochłonął. Patrzał, żył oczyma, żył uszami, żył gorącem i szybkiem życiem ludzi miejskich, co go otoczyli, objęli i porwali.—

Baron German zajął się zaraz wyszukaniem mieszkania; był w wybornym humorze i pluskał się wtem wrzątku miejskiem jak ryba w wodzie.

— Nie życież to, wołał podskakując na półtora łokcia w górę, — patrzaj młokosie serca mego, co to za wrzawa, co to za pośpiech. Ile tu różnych ludzi i twarzy! Tam pogrzeb, tu chrzciny i zaraz wesele i obok kłótnia małżeńska, łzy i śmiech wszystko ściśnięte, zmięszane, utarte! Jeden na drugiego nie patrzy, mijają się, lecą, pędzą, godziny biją jedna po drugiej jak szalone, życie płynie. Ani burzy ani pogody niebios niewidać w tych kamienicach, niema tu chwil nudy i rozmyślań.— Porównaj że to proszę ze wsią, gdzie wśród głuchej, pustych dni ciszy, klekot bociana i wieczorny krzyk gęsi budzi cię tylko; gdzie każda

chmurka przesuwająca się po nad głowami zwraca oczy; gdzie każda drobnostka wypadkiem, a tak szeroko się ziewa!

— To więc życie prawdziwe, jedyne? spytał Tomko, takiem chciał mieć je Bóg?

— Albo to, albo i nie to, z uśmiechem odparł Baron, właśnie okrutnie się biedzę które z nich jest prawdą, ale mnie lepiej miejskie smakuje, a za tamtem nie tęsknię wcale.

— Czemuż ja już dziś tęsknię za niem?

— Ba! więzień tęskni za ciemnicą i łańcuchem z któremi się zbratał. Wielką tajemnicą nałóg — Miałżeby człowiek gdzieś kiedyś do tak jednostajnego zycia być przeznaczony, którego nałóg byłby w nas przeczuciem i zapowiedzią? Hę? — a tymczasem śpij moje dziecko; jutro zaraz pójdziemy pukać od drzwi do drzwi mędrców tutejszych i pytać ich słowy Piłata:

— Co jest prawda?

XI.

— Od kogo zaczniemy? spytał nazajutrz baron German niespokojnego Tomka —

— Od pierwszego z brzegu, odparł młody chłopiec, wszakże wszystkich obchodzić mamy.

— I tak dobrze, zgoda! a że lubię odrazu zbyć się rzeczy najcięższej, a do nauczyciela astronomji wysoko po wschodach drapać się potrzeba, zbądźmy dziś te nieszczęsne wschody.—

Poszli i po stromych wistocie a nie bardzo wygodnych wschodach wdrapali się na wieżyczkę która czoło swe szklanne wznosiła nad dachy przyległe. Z niej tylko szerokie niebios pola, kominy czarne i latające wrony widać było. Chłód przejmował w tej izdebce otwartej na cztery wiatry, zastawionej nieznanemi narzędziami, podobnemi do jakichś przygotowań męczeńskich, ostremi, błyszczącemi, strasznemi. Ogromny teleskop jak działo wymierzone ku niebu sterczał wpośrodku, a chronometr powolnym ruchem mierzył mu ulatujące godziny. Na podłodze walały się księgi zapisane liczbami i pootwierane szeroko, rozplaśnięte, rozbite, zmęczone i ledwie dyszące.

W śród tych ksiąg i narzędzi człowieczek łysy, zamyślony chodził, skakał, szeptał, licząc coś kredą na tablicy i nie wiedząc co się około niego działo. Tak był zajęty niebem i swoją rachubą, że nie czuł przykrego chłodu dnia tego; ubrany dość lekko dla rozgrzania tylko machinalnie zacierając ręce.

— A czego to wasan chcesz? spytał usłyszawszy otwierające się drzwi.

Baron German wyskoczył naprzód— Proszę pana professora, rzekł szybko, mam honor rekomendować tego oto młodego człowieka: jest to czciciel prawdy, który dowiedziawszy się że ona na gwiazdach mieszka, pragnie żebyś mu ją pan professor pokazać raczył i tej znakomitej pani go zaprezentował.

— No! warjat czy co! czas drogi! czego chcecie?

Tomko począł poważniej; professor spojrzał mu w oczy

i zaciąwszy usta: Prawda! rzekł — prawda — rachunek! Niema prawdy jeno w rachunku, jak niema szczęścia tylko w kontemplacji niebios — nauka wielka i piękna! — Chcesz się więc WPan uczyć astronomji?

— Tak jest, jeżli ona prowadzi do poznania prawdy!

— Juściż do jakiejś jej strony, do jednej jej części — Ale znasz że co potrzeba do tego, nauki przygotowawcze?

— Cokolwiek.

Cokolwiek, mało. Masz że ten zapał do gwiazd i nieba miłość, to zamiłowanie eterycznych przestrzeni, które sercem miota i jest przeczuciem naszego powołania?

— O! ilekroć myśl podnoszę, podnoszę i oczy, rzekł Tomko, a zamyślony patrzę w niebo i napatrzeć go się nie mogę.

— To dobrze rzekł nauczyciel — ziemia tylko tyle warta o ile służy do oparcia teleskopu; a i tak nawet jest arcyniedokładną podstawą — Choruje na magnetyczne wstrząśnienia, nie trzyma się swej drogi uczciwie, chwieje się czasem jak pijana kucharka i nie pilnuje przepisanych przez nas prawideł. Jeszcze to też dziecko, wybaczyć jej potrzeba; ustatkuje się później.

— Tu więc wszystko w tej nauce, przerwał Tomko, jest stałe, niezmienne i prawdziwe! tu więc jest prawda! A! doszedłem źródła, zawołał radośnie całując ręce professora.—

— Stałe niezmienne! oj! podobno nie, kochanku, odparł nauczyciel skrobiąc się w łysinę. Tak prawdę powiedziawszy, u nas astronomów od lat tysiąców, co godzina to nowina: prawda prawdę wypycha; rachunki nasze co lat

kilka odnawiamy, poprawiać musiemy, tablice nowemi obserwacjami powiększamy — i — idziemy powoli ku prawdzie.

— Ależ przecie od czasów Kopernika i Galileusza.

— Stare rzeczy! Kopernik i Galileusz są w niebiosach czem Kolumb i Wespucjusz w znajomości Nowego Świata. Posłuchaj moje dziecię:

Astronomja do szkoły Alexandryjskiej, była jak medycyna starych bab złożona z samych empirycznych i przypadkowych nabytków, z plewy i ziarna; w epoce Arabów, Ptolomeusza i dalej jeszcze, ileż to bąków nastrzelaliśmy, nie licząc najpotężniejszego, iż sobie ludzie upatrzyli w gwiazdach horoskopy i pobrali je w dożywotnie władanie, jak gdyby światy boże, z drobnemi pyłami jak my, mogły być w jakim związku bezpośrednim. Od Kopernika do naszych czasów, ileż to zmian jeszcze! Jesteśmy na drodze, ale tylko na drodze — a cel — o! jeszcze daleko!

— Jakto? więc i ta nauka nie może powiedzieć: jestem u progu prawdy, chwyciłem ją.

— Nie, ale powiedzieć może; jestem na drodze do niej, wiemy wiele, a domyślamy się więcej jeszcze.

Tu fiziognomja nauczyciela zajaśniała i rozpromieniła się, oblicze jego okrywało się blaskiem, zdawał się natchniony, a baron German kichnął napróżno by go wywieść z tego stanu; obrócił oczy ku niebu i tak mówić począł. —

W pośród systemu planetarnego jako ognisko najdoskonalsze, złożone z materji w stanie światła będącej, rozrzedzonej..... stoi słońce! Kształt jego jest najdoskonalszym ze znanych nam kształtów, kulisty prawie! Ale i tu *pra-*

wie wlazło i tu niedoskonałość! Materja słońca nie jest ogniem i płomieniem jak wnosili niektórzy, ale światłem. Światło to nie jest skutkiem ognia jak w fenomenie płonienia materji ziemskiej; — jest tylko wynikłością najdoskonalszego stanu materji. Bo masz waćpan wiedzieć, że światło jest materja w najwyższej potędze, materja na krawędzi ducha. Siłę swą słońce ma w sobie, dla tego nie krążąc około innego ogniska (dotąd go przynajmniej nie przypuszczaliśmy) obraca się około siebie, wsobie, wprzeciągu 25 dni i pół wedle naszej rachuby. Słońce ze wszystkich istot znanych, najlepsze nam daje wyobrażenie czegoś najwyższego, najdoskonalszego. Nie dziw że je ludzie czcili: jego kształt doskonały, jasność, obrót niezależny, wszystko je czyni panem — Kształt ten sferyczny równie można uważać za skutek i przyczynę biegu około swej osi. —

— Panie professorze, przerwał German, tu dosyć chłodno, a to się zanosi na prelekcją.

— Komu chłodno niech idzie do djabła, zawołał zniecierpliwiony nauczyciel i z zapałem począł tworzyć dalej a Tomko uważnie go słuchał.

— W słońcu nie tylko jest ognisko jego własne ale ognisko całego także systemu planetarnego; wszystko krąży około niego, pociągane ku niemu; bo prawem jest potężniejszem od Newtońskiego, że doskonalsze panuje i przodkuje mniej doskonałym. Tu jest ognisko, tu najwyższa siła ducha rozlanego w uniwersum, tu mózg tego ogromnego stworzenia, tu życia jego skupienie. Ubóstwienie słońca

w mycie Persów, doskonale pojmuję i tłumaczę sobie; wolę to jak głupią Egipcjan cybulę.

— Nie tak głupią jak się waćpanu zdaje, szepnął Baron po cichu; ale o tem potem.

— Silentium! zawołał professor, a nie to fora z tąd. — Baron ukrył się w kątek i począł zażywać tabakę poglądając to na nauczyciela, to na Tomka, który, wyznać to potrzeba, doskonale słuchał. A słuchać to także sztuką.

— Światło słoneczne, czyli materja w najdoskonalszym swym stanie; światło ukazujące się nam na ziemi tylko fenomenalnie, przypadkowo, cząstkowo — tu istnieje numenalnie.

— W plamach słońca zapewnie! dorzucił cichuteńko Baron; professor nieposłyszał.

— Istnieje numenalnie, ciągle, trwale, i ożywia sobą, żyjąc w sobie..

— I to bardzo logicznie — mówił Baron — niema co mówić.

— Ono się przelewa na planety na które pada, podnosi do życia te ich części które oświeca, wywołuje materją martwą do żywota, wyiskrza w niej zawartego ducha i skupia go na powierzchni..... Tworzy się ruch, tworzy się żywot, ale to zawsze mowa tylko o materjalnym.

— Subintelligitur! mówił Baron z miną rozśmieszająco — poważną.

— Około słońca krążą z zachodu na wschód planety z satellitami swemi. Satellity w świecie planetarnym reprezentują toż samo stanowisko, jakie w świecie naszym ziem-

skim zajmują rośliny, do ziemi przywiązane, przyrosłe. Jak te rośliny one niemogą ruszyć się od planet swoich i podlegają ich przemożnemu wpływowi; są to sługi sług.

— A ja najniższy ich sługa! dorzucił Baron kłaniając się tak nisko, że przewrócił na książkach koziołka, czego jednak nuczyciel nie zobaczył, tak silnie był myślą swoją zajęty i tak dalej ciągnął:

— W miarę siły jaką ma planeta, liczba księżyców jej większa; niemi ocenić można siłę planet. Biegi, słoneczny w koło siebie, księżyców około planet i z niemi około słońca, a może ze słońcem około jakiegoś tajemniczego słońc słońca, w kierunku kołowym lub elliptycznym, spowodowane są pociąganiem do środków, ognisk ducha—

— A gwiazdy obłoczkowe? spytał baron.

— Powszechnie uważane są, odparł nauczyciel, za oddalone bardzo od słońca; niezmierna ich odległość wnosić nakazuje że własne mają światło.—

— (Bo z kąd by go tam pożyczyć mogły?)

— Gdy księżyce naprzykład świecą złaski starszych sąsiadów. Według przypuszczenia Huyghens'a są może jeszcze takie gwiazdy stałe, których światło do nas, od stworzenia świata dojść nie miało czasu; a przecież nie idzie powoli i nie popasa wdrodze — Ztąd zupełna niepewność —

— I tu więc niepewność? i tu prawda nieodkryta jeszcze? spytał Tomek.

— Silentium i słuchać! tupiąc rzekł Baron udający professora. — Ale wróćmy no do obłoczkowych?

— Obłoczkowe, mgliste chcesz wasan mówić — odparł

professor pogardliwie — kat ich tam wie! trudno z Herschelem przypuścić i nie ma czem tego zdania poprzeć, jakoby każda z osobna tworzyła odrębny system planetarny — Są to według mnie dopiero formujące się światy, które etery karmią, a przestrzenie kołyszą, a sfery im pieśń śpiewając, niańczą je troskliwie.....

Niechybnie, gwiazdy te które w różnych stanach skupienia postrzegamy; są to zarodki światów powstających. Herschell znalazł i rozróżnił w nich czternaście różnych stanów rozrzedzenia i skupienia, ale można ograniczyć ten podział do kilku: do gwiazd obłoczkowych rozrzedzonych, błyszczących bez wyraźnych środków; tych w których kilka błyszczących ukazuje się jąderek (z podwójnem jądrem, podłużne, krągłe) i jednojądrowych; już uformowanych, które tylko jeszcze mglistą atmosferę mają do koła zdradzającą pieluchy. —

— A raczej mleko pod nosem, przerwał Baron, ale mnie to prawdziwie zajmować zaczyna jak bajka, pomówmy jeszcze —

Tomko wzdychał, widząc niepewność wszędzie; nauczyciel na jednego i drugiego niezważając rozpalony prawił dalej z wrastającym zapałem.

— Pomówmy jeszcze o tych biedakach satellitach, kończył baron — Los ich wcale mi się nie widzi godzien zazdrości, panie professorze.

— Satellity, podchwycił nauczyciel, krążą około planet w większej lub mniejszej ilości, wedle ich siły, oddalenia od słońca i t. d. Jowisz ma ich cztery, zdają się być ró-

żnej wielkości i w różnych też rozrzucane odległościach, wedle których bieg swój w mniejszym lub dłuższym czasu przeciągu odbywają. Pierwszy w jednym dniu ośmnastu godzinach, ostatni w szesnastu dniach ośmnastu godzinach. Satellity te wedle Herschella, obracają się także około swej osi, jak nasz księżyc.

— Wedle Herschella — powtórzył baron — a wedle innych.

— Wedle innych są inne przypuszczenia — dodał professor — Satellity Saturna któremu ktoś pierścień na kark włożył —

— Biedny niewolnik! szepnął Baron.

— Są w liczbie siedmiu, Uranusa w liczbie sześciu. Planety zależąc od słońca, same są jednak, można powiedzieć, drugiego rzędu słońcami dla swoich satellitów; mają siłę utrzymać je w poddaństwie. Są to feudalni książęta. W miarę odległości swej i wielkości stosunkowej obracają się koło słońca szybszym lub wolniejszym biegiem, przebywając mniejsze lub większe drogi. Ziemia jak panowie wiecie zapewne, jest trzecią z rzędu, a po niej następują Mars, Jowisz i cała czereda którą znamy i której jeszcze nieznamy.

Drogi obiegu planet około słońca nie są wszystkie jednakie, ale z ich indiwidualnością w związku. — Jowisz odznacza się swoją wielkością, Merkurjusz przybliżeniem do słońca; najosobliwiej i najcharakterystyczniej uorganizowany jest Saturn, otoczony pierścieniem który go nie dotyka, ale ellyptycznie opasuje.

— Coś nakształt olbrzymiego obwarzanka nad głową dziecka, rzekł baron.

— Odległość tego dziwnego satellity, prawił dalej nauczyciel, wynosi prawie siódmą część odległości ziemi od księżyca. Siła Saturna, który na sobie unosi i ten pierścień i siedem jeszcze księżyców, jest daleko większa od wszystkich znanych planet. Saturn też leży daleko od słońca i sam w swojem państwie rządzi się obsolutniej z tego powodu, jak to zwykle rządzcy w majątkach dalekich od oka pańskiego. Za nim jeszcze jest Uranus i . . . . . i . . . Bóg wie! Uważcie tylko jak tu wszystkie planety w miarę oddalenia od słońca — króla, coraz więcej rolę słoneczną na siebie przybierają. Im dalej od niego, tem więcej księżyców: Merkurjusz pod okiem pańskiem nieośmiela się nikogo trzymać przy sobie, Wenus, Mars, Westa, Juno, Ceres, Pallas, nie mają ich także — Jowisz ma już cztery. Saturn siedem oprócz pierścienia, Uranus sześć (ale musi być pewnie daleko więcej, dojdziemy tego w krótce.)

— Aleśmy jeszcze nie doszli.

— *Paulatim summa petuntur.*

— I nie doszliście także odległości gwiazd stałych naprzykład od ziemi —

— Ale jej dochodzim — Piazzi, Calandrelli i Brinkley zajmowali się wymierzeniem paralaxy gwiazdy Alfa w *Lirze;* każdy postępował wedle własnej methody.

— I wszyscy trafili na jedno?

— O! nie! co najciekawsza że każdemu wypadło co innego! Tomko zadrżał.

— Struve zupełnie znów nową metodą, niechybnie dokładniej od nich nam to wyrachuje....

— A o kometach także podobno niewiele wiecie panowie?

— O kometach! niewiele! tak! ale niektórych mniej więcej o kilka miesięcy powrót zapowiedzieć możemy. —

— O kilka miesięcy!

— Czasem mniej — Nie dziw; są to dla nas ciała hypothetycznej jeszcze natury, opisujące drogi krzywe mimośrodkowe, raz zbliżające się do słońca, to znów bardzo od niego odbijające. — Wiemy tylko z pewnością że mają zwykle obłoczkowatości, ogony lub warkocze w przeciwną stronę od słońca zwrócone — jakiś wylew materji jasnej na zewnątrz —

— Tyle to i ja wiem — przerwał Baron.

— Są to zapewne, kończył professor — ciała w stanie niedokładnego jeszcze uformowania, lub może planety należące do dwóch systemów słonecznych, które się dowiadują do dwóch światów —; posłańcy z innej niedostępnej nam krainy przelatujący niebo z wieścią od króla — słońca do słońca — króla — Komety są bardzo różne co do swej natury; powracają one w różnych przestankach czasu —; są z ogonami i bez ogonów, z jądrem zgęszczonem i przezroczystem. Ku słońcu zbliżając się spieszą jak zwykle posłańcy, ale za oczy pańskie się dostawszy, ruszają sobie z zakładem po gospodarsku coraz powolniej.....

— Wszystko to i my po troszę wiemy — przerwał Baron — ale dokładniej —

— Owszem, owszem mamy je pospisywane dokłedniej,

starannie... Na przykład wr. 1454 zakrywał kometa księżyc, tak był blisko ziemi — Mój Boże! szczęśliwi co to widzieli! nam się pewnie nic podobnego nie trafi! I westchnął Astronom a Tomko zrażony zabierał się do wyjścia.

— Co? jak ci się zdaje? dużo tu prawdy myślisz? spytał go Baron ciągnąc za połę — Chłopiec nic nie odpowiedział, lecz spuścił głowę i umilkł. Nauczyciel żegnając ich przez drzwi dodał:

— A proszę na lekcje.

— Uczyć się przypuszczeń! dorzucił Baron ze śmiechem.

XII.

— Wiesz co, nie martw się kochany Tomku, mówił schodząc ze wschodów German do swego towarzysza — gwiazdy wysoko, niebo daleko a i nasze oczy nie wyśmienite i rozum na to za mały — tu prawdy trudno się dopytać, kiedy ona tylko na promykach do nas wędruje, które chwytać potrzeba nim błysnąwszy krótko zagasną. Prawda musi być dla nas wpostrzeganiu rzeczy bliższych, przeznaczonych byśmy je nieustannie badali.

Ot właśnie jesteśmy pode drzwiami professora fizyki — słyszę krzyk dzieci, a professorowie fizyki zwykle ich miewają podostatkiem, może dla tego że nie siedzą w domu — Chodźmy no do niego —

— A chodźmy, rzekł obojętnie Tomko.

— Myślę że on być musi na lekcji, rozpoczynać ją musi, bo to właśnie godzina jego, więc spieszmy lepiej do sali.

To mówiąc weszli do wielkiej sali, w której lud słuchaczy drzemał rzadko rozsiany po ławkach. Professor blady ale bardzo poważny, gestykulował w katederce i zrywał się nachylając niekiedy ku słuchaczom, którzy mieli minę jakby go wcale nie słuchali.

Baron uczyniwszy nizki pokłon, zasiadł z Tomkiem w pierwszej ławie i przybrał minę arcypoważną, pełną skruchy i namaszczenia, rzekłbyś że się gotował do nabożeństwa.

Nauczyciel rozpoczynał naukę o swietle i z miną poważną wyrzekł to axioma, niemogące, zdaje się, być zaprzeczonem:

— Swiatło, mości panowie, jest ciałem nieważkiem —

— Przecież je przeważono! rzekł po cichu Baron, ale to zostanie między nami.

— *Silentium.*

— Będziemy tu mówili nie tak o niem, jak raczej o jego działaniu, o prawach jego bytu i stosunku do ciał innych, gdyż wewnętrzna natura i istota tego płynu są nam zupełnie nieznane.

— Tak jak wszystkiego na swiecie, rzekł zawsze przerywać lubiący Baron German.

— Powierzchnie gładkie odbijają swiatło. —

— Swiadkiem łysina professora, szepnął ktoś z boku.

— Za pomocą promieni wychodzących z ciał świecących, widziemy te ciała; za pomocą promieni odbitych od powierzchni ciał, widziemy oświecone. Nierówna ilość promieni od powierzchni ciał odbitych podług jakości powierzchni i natury tych ciał w różnym nam je okazuje blasku. Ciała pod względem światła dzielą się na pochłonywające, na przezroczyste i przeświecające,

— Za pozwoleniem, odezwał się Baron — Bardzo to zapewne wygodnie być musi, panie professorze, tak sobie usłać łóżko i potem na niem leżeć, ale co się tycze własności ciał, jest to tylko przypuszczenie i dowolność.

— Co to jest? zapytał nauczyciel — oppozycja! krytyka! dysputa!

— Nie! to tylko pytanie — Własności ciał należą wszystkie wszystkim tylko w różnym stopniu. Niema w istocie ani zupełnie przezroczystych ani całkiem nieprzezroczystych; tak jak niema też absolutnie sprężystych i niesprężystych; — wszystkie ciała są obdarzone własnościami jednemi, ale w bardzo różnym stopniu — Panowie tylko przypuszczacie dla swojej wygody jakieś wyłączne własności jednym, odmawiając ich całkiem drugim. W naturze wszystko jest do nieskończoności stopniowane, a tych szranków, które nauka ludzka kreśli, niema i niebyło.

Professor osłupiał, słuchacze powstali, zrobił się szmer przepotężny i Bedel wyrzucił za drzwi Tomka z jego towarzyszem, tak że dalszego ciągu nauki o swietle słyszeć nie mogli.

XIII.

Niemamy tak dalece czego płakać, rzekł niemczyk, bo i tu prawdy byśmy się niewiele dowiedzieli. Fizyka jest dziś jak stary zastawnik, którego lada chwila wyrzucić mogą z nieprawnie posiadanego majątku. Już ona granic między swą majętnością a dobrami chemji zakreślić dokładnie nieumie, a na starych i zgniłych siedząc posadach i usiłując jeszcze osobno mówić o świetle, osobno o cieple,

osobno o elektryczności i magnetyzmie, gdy podobno wszystkie te fenomena są jednym; w krótce będzie musiała całkiem się przetworzyć, by żyć. Fizyka jest jeszcze jedną z tych starych pozostałości, którą experymentacja dalsza i postępy chemji, zmuszą do całkowitego od stóp do głów przeistoczenia.

To mówiąc weszli na salę, w której nauczyciel ogólnemi uwagami rozpoczynał historją zwierząt i ich organizacji. Baron pokłonił się nizko, posadził Tomka i szepnął mu:

— Słuchaj no, już to podobno dziesiąty czy dwudziesty system w tym przedmiocie za ostateczny uważany, posłyszysz. Warto ucha; boć gdyby nawet wszystko fałszem było, dowodzi jak człowiek bogaty. Trzęsie jak z rękawa przypuszczenia i co godzina świat nowy tworzy, gdy nasz stary pan Bóg jednym się tylko kontentował. Prawda że niczego mu się udał.

— Nerwy i mózg, w swem coraz doskonalszem rozwinięcia stopniu, odcechowują zwierzę.

— A cóż człowieka? spytał Baron! —

— W miarę jak mózg się uwyraźnia, oddziela, powiększa, jak on się staje siedliskiem a ogniskiem życia, centrem głównem, organem panującym, nerwy też okazują się subtelniejsze. Zwierzęta niższych organizacji mają nerwy grube, węzły nerwowe więcej rozwinięte, bo to jeszcze życie mniej skupione, bardziej rozlane; im doskonalszy twór tem nerwy stają się delikatniejsze —

— Tak że w najdoskonalszym tworze, zapewne, rzekł Baron, skończy się na tem, że żadnych nie będzie!

— Mózg zaś wmiarę wyższej organizacji coraz się powiększa i bogaciej organizuje.

— Tak że w idealnem zwierzęciu będzie zapewne jeno sam prześliczny mózg. — Chciałbym je mieć na stół, bo mózgi lubię.

— Węzły te, gruczoły czyli móżdżki, rozprowadzają życie po całem ciele owadów, robaków i skorupiaków. Dla tego to rozdzielenia w nich (że tak powiem) życia, rozciąć je możesz i nagle niepozbawisz go; dla tego żółwiom wyjmiesz mózg a życie zostanie.

— I to wszystko, przerwał z cicha szyderca, dowodzi złą organizacją!

— U coraz niższych zwierząt jak polypy, gangliony nerwowe rozsypane są, tak właśnie jak nasienie w grzybach, po całem ciele. Im bardziej duch zwierzęcy, *anima animalis*, skupia się, jednoczy w ognisko jedno, tem zwierzę doskonalsze. Człowiek z tego stanowiska uważany, li jako zwierzę, jest szczytem organizmu.

— I egoizmu — dodał Baron.

— Zmysły —

— Za pozwoleniem pana professora, jeśli się godzi przerwać i spytać, rzekł Niemiec — czy są zmysły, czy tylko zmysł?

— Powszechnie przypuszczamy pięć zmysłów — poważnie odpowiedział nauczyciel.

— Czy wolno mi uczynić objekcją?

— I owszem, bardzo proszę.

— Jestto stara formułka; zmysł w istocie jest jeden tylko.

— Jaki?

— Dotykanie.

— Jak to?

— Wiem o tem, że i co do liczby zmysłów są różne zdania, bo niektórzy do pięciu dodali szósty generacyjny, a siódmy zrobili lepiąc sześć poprzedzających w jedno. Ale to sobie niewinna zabawka! To co zowią zmysłami niewłaściwie, są to *organa* jednego zmysłu, dotykania. Wszakże oczyma dotykamy światła od gwiazd nawet, zapachy dotykają naszego nosa; ustami dotykamy potrawy, ucha dotykają dzwięki. Pięć organów zmysłowych, są jak pięć palców jednej ręki, posługaczami jednego zmysłu. Te pięć organów wymierzone są na pięć głównych a raczej cztery stany materji, (gdyż smak i powonienie są prawie jednem i ściśle łączą się z sobą). Oko jest organem dotykania ciał promienistych, ucho do płynów (powietrza) usta do ciekłych lub w pół ciekłych, nareszcie palce i reszta ciała do zsiadłych, stałych.

Każdy organ zmysłu bada stosowne sobie stany, a że w naturze niema nigdzie nic zupełnie wyłącznego, niekiedy organa się zmieniają i zastępują wzajemnie. Tak w snach magnetycznych.

— Idźże asan spać! przerwał professor, kiedy już o snach prawić zaczynasz.

Baron ukłonił się, zamilkł i usiadł, a nauczyciel mówił dalej:

— Zmysły exystują u zwierząt mniej więcej rozwinięte wedle organów, jakie im dała natura, wedle środka w jakim

żyją. U niższych zwierząt właściwie zmysł jest jeden, bo one całe są jednym zmysłem. Rozwinięcie organów determinuje się u zwierząt samą do życia ich potrzebą, zastosowuje do środka, w którym żyć są przeznaczone. Przypuszczają że rośliny właściwego sobie ciepła własnego niemają, chociaż ruch pewien wewnętrzny sam, processem życia musi jako ruch wzbudzać niezbadaną istotkę ciepła. *Arum* roślina Europy południowej w czasie kwitnienia od 30 do 36 stopni ciepła objawia.

W zwierzętach im wyższy stopień ciepła, tem więcej podsycane i gorętsze życie, krew zimna znamionuje niższą organizację, uczucie słabsze. Powszechnie przypisują processowi oddychania to jest gorzenia w płucach powietrza, ciepło krwi.

— Czemuż także nie całemu wewnętrznemu ruchowi organizmu, rzekł Baron — wszak ci ten jako ruch musi także wyrabiać ciepło.

— Zwierzęta z krwią zimną drętwieją pospolicie na zimę z łatwością.— Płuca u ryb zmieniają się w dychawki i kanały rozchodzące się po całem ciele. Płodność zwierząt jest w stosunku odwrotnym gorącości ich krwi i zogniskowania życia.

— Patrz waść na co się to zdało doskonalszym urodzić i z gorącą krwią!

— Pojąć to łatwo że mniej doskonały, mniej w sobie uorganizowany twór, łatwiej się rozpładza, niż ten który życie mając w sobie skupione silnie, trudno się niem podzielić może. Trzeba było ponęty najwyższej rozkoszy, żeby

zmusić zwierzę do rozłamania, do podzielenia się życiem. Różnicę płci tak wybitne w wyższych organizacjach znikają zupełnie w polypach, które jak grzyby są obupłciowe i rozmnażają się bez ustanku. Im wyżej idziemy, tem różnice indywiduów czynnego i biernego stają się dobitniejsze. Kobieta względem mężczyzny jest prawie oddzielną istotą w porównaniu do lwa i lwicy.

Im zwierz doskonalszy, tem też organa pewne służą mu do oznaczonych stosunków, jednych drugiemi zastąpić nie może.

— Doskonała miara doskonałości, i z tąd jasno, rzekł Baron German, dla czego przy wyższej cywilizacji, dwóch też potraw jednemi widelcami nie jedzą.

— W wyższych stopniach organizacji, widzisz odrębne zupełnie organa oddychania, żołądek oddzielny, nerwy i mózg; pokarm bierze się jednym otworem.

Zwierzęta wszystkie wedle pospolitego twierdzenia i nazwania mają *instynkt*. Instynktem tu zowie się ścisły ich związek z naturą, ich z nią zjednoczenie, zespolenie, ich niewola i przykucie do ziemi. Pszczoła tak właśnie bezmyślnie buduje swe komórki, pająk wije swą sieć, jak krzyształ się formuje wedle pewnego prawa. Instynkt czyli duch powszechny przelewający się i ożywiający zwierzę, gra w nim bez jego wiedzy; z tąd czynności zwierzęcia, w pewnych danych warunkach są zawsze jedne i też same; zawsze niechybne, bo bezrozumne. Instynkt jest nieomylny, człowiek odrywając się od natury, dobiwszy się niezawisłości od niej —

— Wiemy coś o tej niezawisłości!

— Człowiek, opierając się na rozumie własnym, na wiedzy o sobie i samopoznaniu, właśnie dla tego, że jest rozumnym, myli się i błądzi.

— Jak to pocieszająca rzecz dla ludzkości, przerwał Baron, nieprawdaż Tomku.

Tomko boleśnie się skrzywił.

— Zwierzęta od początku świata mają tylko historją swej natury, człowiek ma historją swych upadków i postępu. One będąc częścią *universum*, zlane z niem, zniewolone są pod wpływem jego do pewnych machinalnych czynności; człowiek jako jednostka wyswobodzona, ma swobodę czynu, swobodę błędu, ale i nadzieję postępu. Wmiarę jak sam człowiek mniej jest rozwinięty umysłowie: w dzieciństwie, w stanie upadku i dzikości, w chorobie, gdy dusza w nim usypia, — odzyskuje instynkt utracony wyrzekając się rozumu i staje się na chwilę niechybnym jak zwierzę.

Dziecię szuka piersi, chory czuje potrzebę pewnych pokarmów, jak zwierzę szuka lekarstwa w pewnych roślinach, których niezna własności, ale ku którym instynkt je pociąga, jak magnes żelazo. Zwierze obdarzone instynktem niema woli, niema wyboru, jest w ciągłej konieczności.— Tu miejsce, dodał nauczyciel, napomknąć o duchu i duszy.

— Czekamy, czekamy, i uszy otwieramy, zawołał Baron, chociaż to pachnie panną Scholastyką.

— Duch którym obdarzone jest zwierzę, jest częścią tylko ducha rozlanego w *universum*, jest cząstką; dusza

jest całością w sobie. Zwierzę ma tylko ducha, człowiek ma duszę. On jest w sobie cały, światkiem, mikrokosmos. Zwierzęta rozmaicie się dzielą; podziały te mniej więcej sztuczne na cechach stałych oparte, nigdy ścisłemi być niemogą.

— Słyszysz! rzekł Baron.

— W naturze, wszystko jest ciągłem stopniowaniem nieskończonem, nigdzie dobitnych granic i żelaznych słupów. W ogólności nie na skrajach podziałów które się z sobą łączą, ale w środku ich prawdzi się klassyfikacja.

— Może już dosyć o zwierzętach? spytał Baron. Ilu zoologów znakomitszych, tyle podziałów, a wszystkie jedne od drugich lepsze. Jedni patrzą tylko w zęby, drudzy tylko na nogi, inni tylko na grzbiety, a nikt jeszcze niedomyślił się patrzeć na wszystko razem. — Prawda i tu jeszcze daleko.—

— Chodźmy rzekł Tomko — dosyć w istocie słyszałem żeby w nic niewierzyć. Ale to wina methody, ludzie zbyt odważnie puszczają się bez faktów na morze synthezy, z tąd błędy.

— Myślisz że wielość faktów nagromadzonych zabezpieczy od błędu? Wcale nie! Zobacz co się dzieje z chemją; składa się ona z stu tysięcy formułek i formuł które leżą rozsypane po ziemi bez znaczenia, bez związku; są dokładne, ale do niczego nie prowadzą, bo ich syntheza nie powiązała.

Zresztą kochanie moje, ty myślisz, że synthezą syntheza, a analizą analiza; w tem się okrutnie mylisz, ot chodźmy na lekcją logiki, a i o methodzie posłyszym.

— Chodźmy, zgoda.

XIV.

Drzwi były otwarte, sala prawie pusta, a w przyćmionym kątku cichy, powolny głos nauczyciela odzywał się do ławek. Wszystko do koła drzymać się zdawało snem bardzo logicznym. Kilku odważnych professorów *in potentia*, z głowami podniesionemi do góry i usty wypukłemi od myślenia, zdawali się słuchać szczerze, ale myśl ich była podobno gdzieindziej.

Nauczyciel spojrzał z ukosa na Tomka i jego towarzysza i tak ciągnął dalej:

— Dwie są tedy wśród wielu główne methody — in analytica ex veritate particulari nota, ad alias quæ pertinent ad rem aliquam singularem progredimur. In synthetica vero methodo, generales quasdam veritates proponimus, ex quibus veritates singulares deducimus.

— Przepysznie, rzekł Baron, słuchajmy rozwinienia.

— Methoda synthetyczna, którą także zgadującą zowią, panującą była od najdawniejszych czasów do XVII wieku. Bakonowi przeznaczonem było uzyskać nieśmiertelną sławę twórcy Analyzy i zakładcy nowego gmachu...

— Za pozwoleniem, przerwał German, jeśli Nauczyciel pozwoli, uczynim objekcją. Bakon dotąd jest źle zrozumiany a Analyza i Syntheza źle pojęte — Jeżli wolno ja z ławki naszej postaram się rzucić na to wejrzenie bezstronne.

— Prosimy, rzekł powolny nauczyciel logiki; a na to niespodziane *dictum*, uczniowie oczy przetarli, pająki prząść przestały i mysz uczęszczająca na ciche lekcje logiki, z wielkim przestrachem w drobną dziurkę się zaszyła,

poglądając co to się stało. Baron z okiem zaiskrzonem, zażywszy tabaki tak mówił:

— Scholastyczna umiejętność opierała się cała na synthetycznej metodzie. Czem ona była w głębi? Oto sądem syllogistycznym z małej liczby prawd ogólnych o szczegółach, właśnie jak pan professor powiadał. Cała rzecz więc na tem, że na *małej* liczbie danych, opierała się cała pewność. Z tej szczuplej garstki pewników, siliły się umysły na subtelne wywody często nadaremne, a zawsze fałszywe. Budowano genetycznie światy na wzór Timaea platonowego, wyrywając kawałki Platonowi, które on (nieprzemawiając) zapożyczył sobie także cichaczem od Pythagoresa, Demokryta, Protagora i wielu innych. Kruche to były budowy zaiste! Opierając się na posadach nie licznych prawd, nie mogły idąc w górę się rozszerzyć, gdy w dole tak wązko miały założone fundamenta. Umiejętność cała na wnioskowaniu leżąc; gdy szczupła ilość danych do wnioskowania nie dostarczała materjału; — umiejętnicy bawili się ze światem jak kot z kłębkiem poplątanych nici.

Powstał Bakon, krzyknął na synthetyczną methodę scholastyki, a że scholastyka jak Aristides dojadła była ludziom nieustannie im od wieków zachodząc drogę; przepędzono ją zaraz, ogłaszając panowanie analyzy.

Odtąd źle pojmujący Bakona i methodę jego wołać poczęli: Mnożcie fakta i doświadczajcie, w empirji zbawienie, umiejętności!

Głos to był nierozumny, namiętny!

Empirja bez spekulacji, spekulacja bez empirji obejść się

nie mogą — są to dwie ostateczności i jako ostateczności są to dwa fałsze, so to prawie adæquata, są jednem co do skutków swych. W spojeniu umiejętnem dwóch method leży przyszłość naukowa ludzkości. Wszelka ostateczność jest granicą umysłową, jest rębem za którym ciemności; między temi rębami — prawda.

— A przecież! rzekł Tomko.

— Prawda jest rzeczywistością —

— To znowu co innego! dodał smutnie nasz uczeń.

— Prawda jest rzeczywistością, kończył Baron, a w ostatecznościach niema rzeczywistości — ostateczności są jej określeniem, obmurowaniem. W gruncie zaś Synthesa i Analyza są prawie jednem.

— Horrendum et absurdum! zawołali uczniowie.

— Cała rzecz że w Synthezie rządzicie się jednym, dwoma, niewielką ilością faktów, a w analyzie wielą. Sprawa między *ilościami* tylko; sprawa więc właściwie o to: czy z małej ilości faktów, na wielką ilość wnosić się godzi? Tu Analyza odpowiada że u niej większa ilość faktów daje lepszą rękojmię pewności.

Idzie więc o godziwość wnioskowania tylko, o samą naturę wniosku. — Syntheza jest także aposteriorycznością, bo i ona bez pewnych faktów choćby niewielu nic nie zrobi. Spekulacja musi mieć też jakąś posadę. Powtarzam że tu cały interes w *ilości* faktów; a gdy tu nie ilość, ale ważność i znaczenie faktów stanowią, chodzi więc znowu o rozgmatwanie, które fakta są ważne a które obojętne, zatem o *ważność* faktów.

Dla tych co pod obłoki wynoszą samą analyzę czystą, spojrzmy cóż ona tak mądrego bez synthezy potrafi? Spojrzmy na stan umiejętności opartych na samem doświadczeniu: na Chemją; na Fizykę. Dzieła dzisiejsze w tym przedmiocie, są ogromen faktów odrębnych, bez związku, bez solidarności, bez kleju, bez nici coby je z sobą spoiła, są ową platonową massą chaotyczną materji, której Demiargos ma dopiero kształt nadać.

Idąc samą analytyczną drogą do niczego się nie dojdzie: sposobi się i gromadzi materjały, zsypuje kamienie na kupę, rozdziela wielkie od małych, małe od drobnych, cement na jedną kupę, cegłę na drugą, ale syntheza dopiero przyjdzie, i z tego zbuduje gmach. Analyza przysposabia materjał, nic więcej. Związku żadnego między faktami ona nie utworzy. Syntheza tylko twierdzi a *priori*, czego a *posteriori* jest pewna, a że swą prawdę ogólną rozdziela po troszę i zastosowuje, toć słuszna; wierzy w prawdę ogólną.

Analyza i Syntheza absolutne są chymerami urojonemi. W każdej analyzie są aprioryczne jakieś założenia z których nawet empiryczne doświadczenie płynąć musi, chceli nie na los i wypadek tylko się spuszczać. — Spuścić się na wypadek, to rzecz już nie myślącej istoty, i przypadek nawet kopalni solnych u nas odkryć nie mógł, choć go o to posądzają. Piękna to rzecz, kłaniać się i czekać wypadku, trafu! Tak więc i analyza w głębi jest czemś synthetycznem.

Syntheza znowu także sama przez się nie exystuje, bo we wszelkiej synthezie są pewne fakta zdobyte wprzódy, na których się ona opiera. Zresztą idźmy po wyrok do waszego Bakona, którego, powtarzam, podobno rozumieć niechcecie. W methodzie jego, nie idzie o to wcale, żeby wygnać synthezę, ale żeby ją pod pewne podciągnąć prawa. U niego najważniejszą gra rolę powolne, stopniowe uogólnianie i wnioskowanie.

Bakon zarzuca dawnej methodzie zbyt tylko porywczą synthetyczność i nazbyt pospieszny wniosek, naprzykład z obiegu planet po drogach krzywych, wniosek o sferycznych kręgach. Ale tu nieborak choć pozornie miał słuszność, niezastanowił się nad naturą ludzką. Omyłki tego rodzaju są obfite w wypadki, są matką prawd późniejszych — Ze sferycznych kręgów przyszliśmy do ellipsy, do której od razu przystęp był niepodobny.

W błąd podobny może popaść i analyza.

Bakon zaleca postrzeganie, doświadczanie, wątpienie, i wyłączanie bez końca; idzie przez fenomen do numenalności i wszelką nadzieję w fenomenie pokłada. Klassyfikacya więc fenomenów jest tu największej wagi i ich zbieranie stanowi rzecz całą; ale niemniej tenże sam Bakon zaraz żąda użytkowania z analyzy przez synthezę powściągliwą, zaraz zaleca spoić fakta i daje tego arcypocieszną próbę w swojej rozprawie o wiatrach.

Bakonaście panowie niezrozumieli, a sam Bakon jakkolwiek wielki zapomniał że historja błędów ludzkich, jest razem historją pogoni za prawdą. —

Tomek się zżymnął.

— Tak; przez błąd idziemy do prawdy na drodze rozumowej, przez omyłki uczemy się jej. Potykamy się i podnosim, innej drogi na nieszczęście niema. Ani Analyza ani Syntheza, ani nawet obie razem spojone, nie uchronią nas od błędów i fałszów, przez które przechodzić musimy.

Dosłyszawszy tych wyrazów, Tomko zatknął uszy i uciekł, w chwili gdy nauczyciel ruszywszy tylko ramionami, odzywał się bez najmniejszego wzruszenia kończąc swą lekcję:

— Methodi analyticæ leges — 1° Conservanda est evidentia. . . . . .

Baron goniąc za swym towarzyszem, w korytarzu już krzyknąwszy, dodał:

— Ciekawy jestem, czy nie sprobuje dać definicji ewidencji! !

XV.

Wyszli na powietrze, Tomko potrzebował nieco ochłonąć, a Baron rzeźwy i niezwalczony, brzęczał mu nad uchem.

— Cierpliwości! musimy przecie odkryć gdzieś prawdę choćby na lekcji filozofji. —

— Dajmy jej pokój na dziś, proszę. —

— No, to sprobujmy może matematyki; jej prawdy przynajmniej są nieporuszone, niezmienne, przepotężne.

— Ale w martwych liczbach możeż być cała prawda! jakaż by była zimna, sucha i biedna.

— Dodaj kochanku że caluteńka matematyka ogólnie wzięta, redukuje się do tej ogromnej prawdy jedynej, że

$$a = a.$$

Tyle kłopotu, żeby na ostatku dojść zachwycającej głębokością formuły

$$a = a.$$

— Jak to?

— Tak, kochanie moje. Condyllac i Szkoci mają wtem trochę słuszności. W istocie cała matematyką składa się na tę formułkę niepocieszającą, która niedaleko zaprowadzić może. Skutkiem biednego uorganizowania naszego, umysłu nie chwytamy od razu wszystkich rzeczy własności, ale ich dochodziemy powolnie, empirycznie, doświadczając, porównywając, pracując. Stosunek koła do promienia, stosunek kątów w trójkącie i do trójkąta, cóż to jeśli nie proste definicje tylko koła i trójkąta natury? Stosunek różnych do siebie przedstawia coraz nowe dla definicji pole; przechodząc od linji do powierzchni, od powierzchni do bryły, stosunki te coraz się mnożą i komplikują. Z tąd definicje brył już idą daleko ciężej, z tąd teorja przecięć ostrokręgowych, musi się rozłożyć na niewyczerpaną prawie naukę. Samo dokładne wyliczenie linji w całej ich nieskończonej rozmaitości z poruszenia punktu wynikających, wyliczenie wszystkich możebnych powierzchni, wszelkich brył, już nie ma prawie końca. I tu prawda składa się z tysiąca drobnych cząstek; a najczęściej

uwięźniesz w prawdkach, nim dojdziesz do prawdy. Matematyka więc, powtarzam, jest definicją; i definicją stosunków ilościowych.

— Matematyka, odparł Tomek, jakkolwiek umysł ludzki podnosi, zaostrza i wykształca, jest nauką ilości, zatem nauką z ciała wynikłą; a że ciało nie jest prawdą lub same przez się przynajmniej — nie jestem więc ciekawy i tej nauki.

— Kłaniam uniżenie, a dusza bez ciała?

— Dusza bez ciała może być, to pojmujemy, a ciało bez duszy?

— Ale to na naszym biednym świątku?

— Tu? alboż to tu koniec?

Baron zaśpiewał coś pod nosem niezrozumiałego i zakończył sobie po grecku:

Pożywieniem jest dla rozumnego rozumne.

A więc chodźmy się ogrzać gdzie pokarmem myśl i ruszajmy w dalszą pielgrzymkę —

— Nie — dziś, spoczniemy, rzekł Tomko, pójdę do domu, głowa mi się zawraca.

XVI.

Nazajutrz Tomko siedział zadumany i zniechęcony, gdy Baron German, pochwycił go za rękaw sukni, wstrząsnął i odezwał się.

— Takiż przecie, musisz pójść posłuchać, co mówią in *Alma Academia* o twojej kochance?

— Odpadła mnie ochota.

— Ale pójdziesz; posłyszymy na jednym korytarzu dwie przynajmniej odmienne definicje prawdy, a obie równie fałszywe, toć przecie warto kilka kroków — U S. Jana bije właśnie druga, chodźmy, chodźmy!

— A! idźmy kiedy chcesz.

— Idziesz! cudo! admiruję twą męczeńską stałość i zapoznaną cnotę! Dowiesz się w nagrodę jednej a jedynej na świecie prawdy najpewniejszej; mianowicie: że prawdy u nas całkiem niema.

Drzwi do sali w której czytano kurs filozofji były właśnie otwarte i nasi ciekawi przybysze weszli niepostrzeżeni między uczniów, którzy słuchając prelekcji jedni czytali Idziego Blasa z Santyllany, drudzy pisali listy do rodziców, inni rozpowiadali sobie cicho swoje przygody na bulwarach. Nauczyciel którego obowiązkiem było mówić, nie być słuchanym, impavidus stał w katederce i pędził poczęty kurs, *ad perfectam saturationem* uczniów.

— Cała filozofja mówił, dzieliła się dawniej na Dialektykę, Fizykę i Ethykę.

— Podział, dorzucił Baron German, który ma tę największą zaletę, że jest troisty, chociaż niedorzeczny; niemniej jednak Troistość jest rzeczą prześliczną: (dodał po grecku) wskróś bowiem w świecie świeci trójca
a ciszej: zawsze od jedności się zaczyna.

— Dialektyka była razem Logiką, Loika u późniejszych stoi także na czele nauk filozoficznych jako wstęp do Methafizyki, Antropologji i Esthetyki. W właściwej Methafizyce mieszczono to, co dziś powoli przeszło do Logiki. W pra-

ktycznej filozofji zawierała się moralność, prawo natury, polityka i pedagogika. Psychologją dochodzącą władz człowieka (później krytykę czystego rozumu).

— Dowodzącą że go niemamy — mruczał nieznośny Baron.

— Uważano za Propedeutykę do wszelkiej umiejętności methafizycznej. Logikę zwano także filozofią formalną. W rozpoznaniu władz człowieka, zgadzano się na wiedzę (conscientia), zmysłowość i umysł.

— *Plaudite!* krzyknął German — ale poczekajcie, będzie tego i więcej!

— Wiedza była najniższym stopniem poznania. Zdolność odbierania wrażeń wewnątrz nazwano: zmysłem wewnętrznym. Rozdzielano poznanie rzeczy, na poczucie, postrzeżenie, władze niższe, na uwagę umysłową, imaginacją i pamięć. W samej imaginacji były jeszcze różne szufladki z pomniejszemi ingrediencjami, jako to: zachowywanie wyobrażeń, odwzorowywanie, przypominanie, odosobnianie i władza tworzenia, zmyślania.

— Bardzo obfita w człowieku — dodawał German.

— Związkiem idei czyli wyobrażeń tłumaczono wewnętrzne ich snucie się w pewnym porządku, choć Campanella dawno był postrzegł że logika natury rzeczy niemogła nawet silić się dochodzić i wyrzekł że była prostą nauką formy; niemniej zachciwało jej się czasem i istoty samej.

— Była zupełnie jak staruszek któremu się czasem dziwnych rzeczy zachciwa, póty, póki mu ich niedadzą.

— Prawo stowarzyszenia się myśli (associatio dearum)

opierano na ich współtrwaniu (coexistentia), pokrewieństwie (affinitas), zawisłości (causalitas). — Niedopuszczano jeszcze wcale idei obok siebie sprzecznych, które przez to samo że są sprzeczne wzajem się wywołują.

— Ale gdzież prawda na którą czekamy? spytał Tomko Barona.

— *Patientia et labor improbus*, słuchaj naprzód nauczającej historji fałszów, a dopiero dowiesz się prawdy.

— Wyobrażenia rzeczy dzieliły się na poznawanie (cognitio) pojęcie, sąd i wniosek. Na tych to trzech terminach zbudowano, całą Logikę; do nich odniesiono władze człowieka, których musiało być naturalnie, ni mniej ni więcej tylko trzy.

— Wszędzie bowiem — począł Baron po grecku, ale nieskończył.

— A zatem, powstały: Pojętność (Intellectus), Rozsądek (facultas abjudicandi) i Rozum (ratio). *Intellectus* służył tylko jak łyżka do przyjmowania (pojmowania), *facultas abjudicandi* jak zęby i gęba do osądzenia, co to za strawę łyżka podała, a *ratio, ultima ratio*, jak żołądek do spożytkowania ze strawy. Wniosek — zwierzętom przyznawano łaskawie (bo coś im przecie dać także potrzeba) niższe tylko władze, nie określając ich ściśle; rozum i wniosek zostawiano na wyłączną własność człowieka.

Długo mówił professor, długo szydził Baron, ruszał ramiony Tomko, aż nareszcie przyszli do prawdy. —

— Taki był wstęp do Logiki właściwej, za cel jej naznaczono wskazanie prawideł dochodzenia prawdy a unika-

nia błędu. Tu mieściła się definicja prawdy i jej poznawania, definicja *criterium* czyli znamienia. Prawda mówiono, jest to zgodność poznania z przedmiotem.!

— A że przedmiot o tyle jest dla nas, o ile go poznajemy, określenie więc to redukuje się najściślej do—zgodności poznania z poznaniem, czyli

o = o

Tomko dosłyszawszy tych słów porwał się oburzony i chciał uciekać, Baron dogonił go w progu.

—Co tobie?

—Czyż jeszcze dalej mam słuchać?

—Przecież to historja twojej kochanki.

—Tak! dzieje jej nieszczęść. Na cóż serce sobie kaleczyć; chodźmy, nic się tu niedowiemy. Pomimo usilnych Barona nalegań, który za nos wziął był biednego filozofa, Tomko nie dał się zawrócić i wybiegł na ulicę, ulicą w rynek, z rynku na przedmieście jak szalony—Baron German pędził za nim.

XVII.

Nazajutrz znowu ochłonąwszy, nabrawszy siły, posłusznej swej dziwnej, zawsze w nim tkwiącej myśli, Tomko powracał do nadaremnych i zawiedzionych poszukiwań. Baron wszędzie mu towarzyszył. Szukali teraz filozofów i chcąc się bliżej niż na sali przypatrzeć jednemu z nich, zapukali do drzwi jego pomieszkania.

W ciemnej sieni brudna ich spotkała kucharka i zmierzywszy oczyma, nagderawszy pod nosem, otworzyła drzwi do pokoju, mówiąc Poczekajcie!

Tomko z Baronem pozostali sami na chwilę w przedpokoju, gdzie jeden chudy kanarek trzepiotał się po klatce. Drzwi otwarte do bawialnego ukazywały w nim kilka starych krzeseł, kanapę z włosienia i stolik dość nieczysty. Z trzeciej izby głos ich dochodził gderliwy, wybuchający chwilami wśród sprzeczki jakiejś dość żywej.

— Ba! pomyślał Tomko, Filozof ani chybi dysputuje. Mimowolnie w krótce też i dysputy dosłyszeli.

— Twój zastaw nic nie wart.

— Wielmożny panie, perły.

— Zbieranina nierównej wielkości i wody.

— Wielkość! woda! rozumiem, rzekł roztargniony Tomko, jest to dysputa o początku wszech rzeczy.

Ale następne wyrazy wywiodły go z błędu.

— Dam dziewięćset ani szeląga więcej.

— Wielmożny panie! półtrzecia na miesiąc i z góry czy to może być?

— Chcesz, niechcesz, jak ci się podoba.

Potem umawiano się ciszej, Tomko już nic zrozumieć nie mógł.

— Są to formuły, mówił w duchu pocieszając się, potrzeba być wtajemniczonym.

Nareszcie drzwi się otworzyły i w szlafroku zatłuszczonym, z gołą wyschłą i pomarszczoną szyją, łysy, w okularach, wszedł mistrz.

— Kłaniam się! rzekł.

Tomko przystąpił z uszanowaniem, pocałował go nawet w rękę podobno i zaczął mówić: —

Co mówił? niepowtórzemy, z przejęciem opowiadał on swoją historję; stary słuchał go, to z marsem na czole, to z pół uśmiechem, to ramionami ruszając.

— Chcecie poznać prawdę, rzekł naostatek, a no! to chodźcie na moje lekcje — Jeśli jest gdzie prawda znajdziecie ją niechybnie w moich sexternach, a myjcie sobie głowę zimną wodą rano i wieczór. —

— To mówiąc z uśmiechem zawrócił się i wyszedł.

XVIII.

Baron trzymał się za boki od śmiechu którego pohamować nie mógł.

Stary głupiec, stary lichwiarz! wołał, po cóż bo było iść do niego. Prawda, sam cię poprowadziłem, i muszę wynagrodzić ten zawód. Chodźmy do innego, do młodszego i pełnego życia nauczyciela.

Poszli znowu.

Za dymem mnogich fajek i wrzawą okrutną ledwie dojrzeć i dostąpić było można do nauczyciela, którego głos ginął wśród tłumnie zebranych gości wykrzyków. — Mistrz właśnie grał w karty i lulkę palił, weseląc się z przyjacioły.

Przyprowadzam wam ucznia, rzekł przedstawiając Tomka Niepokojczycki, pragnie on gorąco prawdy i szukając jej chodzi po świecie, jak dziad za żebraniną.

Rozśmiał się na całe gardło już widać uprzedzony uczony, zmierzył oczyma od stóp do głowy biednego Tomka i rzucając karty o stół, a zarzucając na tył gęstą czuprynę, zawołał patetycznie:

— Lubię to poświęcenie i zapał młodzieńczy — *Macte animo*, znajdziesz czego szukasz! Rozpocznij studja pod moim przewodnictwem; nie poprowadzę cię staremi, wybitemi drogami, które do niczego nie wiodą. Na nowych świeżo przetrzebionych gościńcach prawda być musi. Pójdziemy za Kantem i Niemcami, oni mozolnie prawda, ku jasności prowadzą, oni wskazują prawdę i złudzenie —

— Mistrzu! dzięki ci! więc widzicie prawdę oko w oko i przypuszczeni jesteście do jej przybytku!

— Hm, to jest, odparł nauczyciel młody — my dotąd jesteśmy jeszcze tylko na drodze, ale nie u celu jeszcze — Praca dopiero poczęta! Ale już wiemy dotąd co nie jest prawdą; wywracamy fałsze stare.

— Budujecie gmach nowy? —

— Zakładamy fundamenta; przygotowujemy się.

— I doszliście? dorzucił Baron.

— Prawdy względnej, bezwzględnej czekamy jeszcze ale i to z czasem przyjdzie.

— Tej i ja szukam.

— I my także! To mówiąc professor usiadł do kart i mrucząc odwrócił się tyłem.

— Chodźmy rzekł Tomko do Barona.

Chodźmy.

XIX.

Coraz większe zrażenie po każdej próbie nowej opanowywało biednego wędrowca; wychodząc z mieszkania

zwolennika nowej filozofji głowę miał spuszczoną, ręce opadłe i myśl zbłąkaną zupełnie.

Baron kroczył za nim tryumfalnie. W ulicy spotkali człowieczka zadumanego, który w okularach stojąc u rogu kamienicy zagapił się na dwa psy leżące nad kością, o którą się pogryźć miały. Okrągły i wcale poważny brzuszek, twarz rumiana, wyraz spokoju odznaczały go, ręce miał na tył założone, ciepłą czapeczkę nasuniętą na uszy.

— To także nauczyciel! szepnął Baron, znam go nawet trochę, wdajmy się z nim w rozmowę, czas przejdzie, nie wadzi spróbować.

Tomko nie sprzeciwiał się, a German w kilku słowach począł od treściwej historji młodzieńca któremu narzucił się za przewodnika.

Staruszek słuchał, uśmiechał się i wreście gdy psy, z których oka nie spuszczał, pouciekały rzekł idąc i wiodąc ich z sobą:

— Szczęście wasze, żeście trafili na mnie, u mnie to dowiecie się prawdy — Posłuchajcie, rzecz jasna i krótka.

— Prawdą jest materja, fałszem jest duch. Ducha skomponowali sobie ludzie przez próżność, aby się wynieść czemkolwiek nad zwierzęta, od których są tylko doskonalsi nieco, w pewnych względach organizacją. Wszystkie idees przychodzą nam od zmysłów i zewnętrznego swiata; dusza nasza jest to siła organiczna, siła w pewien sposób związanej materji. Myśl jest sekrecją mózgową, płynem niepochwyconym.

— A my —

— Myśmy tylko najdoskonalszemi zwierzęty. I patrzcie no! uważcie! od polypa do nas, jaki szereg nieprzerwany stopniowań; dla czegoż ostatnie ogniwo łańcucha miałoby być z innego metallu? Wszystkie fenomena duszy, są to fenomena materji i sił nad nią panujących.

— A te siły? spytał Tomko — to także materja!

— Siły! siły! — odparł stary — są to siły materji —

— Ale nie są materją? —

— Jużciż są chociaż z drugiej strony, rzecz to jest niewyjaśniona, a mniejszej wagi, z kąd się biorą siły. Wynikają one przecież zawsze z materji, na nią działają, z nią chodzą, bez niej objawić się nie mogą; a zatem są w pewien sposób materjalne. —

Tomko głową pokiwał.

— Świat więc cały jest li tylko materją? spytał, a pierwiastki piękności, ładu, porządku, jakie w nim widziemy?

— Dzieła przypadku moje serce.

— I niesmiertelne?

— A kto ci to powiedział?

— Dzieje wieków —

— Ba! dzieje chwili powiedz, bo lat kilka tysięcy, to chwila tylko.

— A przyszłość? spytał jeszcze chciwy młodzieniec —

— Jaka? przyszłość świata?

— Nie, nasza —

— Zgnilizna, smierć i nowe pod nową postacią życie.

— A to co w nas myśli i mówi?

— Zawsze kochanku obałamuca cię ta fikcja duszy, której się pozbyć niemasz siły! Cacko z dziurką dla dzieci! Gdziesz u diabła ta dusza? Bawią was jak niemowlęta, którym czego dziś dać niechcą odkładają na jutro — Jutro! przyszłość! Tere fere kuku! będziecie ją widzieli. Dzieci! dzieci!

— Smutna wasza prawda, panie —

— Zapewne, ale czysta i jasna.

— Nie! nie! nie! zawołał żywo uczeń. Mówicie niema na to, czego niepojmujecie, czego nie możecie pojąć; mówicie niema duszy aby jej nie tłumaczyć, nie chwytać, abyście nie byli zmuszeni wyznać bezsilności waszej. Ja czuję duszę moją wlaną w ciało jak wodę w naczynie, czuję że ją to ciało więzi i pęta, że ją krępuje, że nią rzuca; ale niemniej czuję że to co we mnie żyje znikomym prochem być niemoże. No toż by dana mi była myśl sięgająca jak Tytan pod niebiosa, by ze mną zgniła i zamarła? Nad wszelkie rozumowania silniejsze we mnie jest to uczucie duszy, bez którego żyćbym nie mógł! Wszystko ciałem! wszystko materją? Z kądże życie?

— Siła materji.

— Ależ wszelka siła jest duchem; siła co porusza swiaty, co żywot daje, co wstrzęsa, wywraca, rodzi i zabija, to nie materja, to duch! . . . .

— A jakiżeś głupio uparty, moje serce! zawołał starzec — Co to darmo cieniaki sobie stawić — Duch! duch! A materja? z kądże się wzięła materja? Duch li ją stworzył? jestli tak, dla czego i poco? jeśli nie, więc była, od wieku? a była czemś od ducha oddzielnem. Mamy więc *ab ovo* dwo-

je kłótliwych pierwiastków — kto tu starszy, kto tu młodszy? kto komu zdrogi ustąpi! Głupstwo! głupstwo! A jak przypuścisz tylko, co musisz uczynić, preexystencją materji, toś moj!

— Nie mistrzu, ja też tego nie przypuszczam. Wszystko co jest własnością, *qualitas*, pochodzi od ducha, *quantitas* tylko jest materją. Odbierzcie wszelką *qualitas*, wszelką własność, to jest wszelkiego ducha materji, a rozsypie się w nicość. W ten sposób pojąć możecie, że i stworzoną sprawą ducha z niczego być mogła.

— O! to już bredzisz kochanku! i *de grubis!* rzekł stary ruszając ramionami. Wszystko powtarzam ci, wbij to sobie w głowę bodaj siekierą czy młotem, wszystko jest materją, a krom niej niema nic. Materja jest nieśmiertelna objawy jej, życie wiekuiście różne. Z resztą przyjdź do mnie kiedy chcesz do domu, bo teraz niemam czasu, dobranoc.

Tomko trochę ogłuszony i przybity pozostał w ulicy: potem w myślach cały posunął się powoli za miasto, w przedmieścia i aż nad brzeg rzeki na której usiadł obrywie, spoglądając pytającym, błagalnym wzrokiem na niebo, wody i swiat.

XX

Baron German von Teufel uieopuszczał go na chwilę, biegł za nim, czepiał się sukni, wieszał się czasem na jasnym włosie i ulatywał z nim w powietrzu, dziwne hołupce wycinając nóżkami. Gdy Tomko usiadł, skoczył przed niego, zażył tabaki i ukłoniwszy się ze swym grzecznym uśmiechem, rzekł:

— Ależ biegłeś paneczku.

— A, i wy tu?

— Zawsze kochanie moje.

Tomko głowę odwrócił:

Obok niego siedział ktoś nieznajomy, stary dziwnie łysy (jak kolano z pozwoleniem waszem), schylony we dwoje, wyschły jak stara okładka i tak zamyślony, że nic go wywieść z tego stanu osłupienia nie mogło. Trzymał on wędkę w ręku i patrzał na nie poruszony jej sznurek, który się w wodzie zanurzał. Twarz jego pełna była wyrazu łagodnego smutku, któren czas widać długi, zmienił w naturę. Oczy, usta, czoło uśmiechać się zdawały boleśnie i z litością. Suknia na nim była łatana i wytarta do nitki; obówie sznurkami przymocowane do nogi, a czapka w której leżały robaczki i haczki, prawie od dziur licznych przezroczysta.

— Dzień dobry, professorze, rzekł Baron do niego.

— A co? i to professor? spytał Tomko.

— A jakże, i niepospolity! Całe życie także szukał prawdy, uczył się, pracował i na starość doszedłszy że prawda jest na dnie wody w postaci wielkiej ryby, siedzi z wędką nad brzegiem, żeby ją złapać. — I odwracając się do starca spytał Baron:

— Cóż tam prawda, professorze?

— Zawsze jest nadzieja połowu.

— Ale dotąd?

— Dziś już ją pewnie złapię.

— Niechcielibyśmy przeszkadzać w tak ważnem zatrudnieniu, rzekł niemczyk, ale oto jest wielkich zdolności uczeń, który by rad od was choćby trochę historji prawdy się dowiedzieć, jeśli nie jej samej; bo ona sama jak mówicie stała się w końcu rybą.

— Tak jest! tak jest! stała się rybą i pływa na dnie wód! dziś ją złapię niezawodnie a jeśli ciekawy, niech słucha ten pan uczeń — rzekł stary nieodwracając głowy — powiem mu co wiem, a jeśli dziś jak niemylnie wnoszę złapiemy ją, to się nią podzielim, i nie tylko my, ale ludy całego świata, jak Leviathanem na wielkiej wieczerzy nakarmią się do sytości.

— Byleby się wędka nie urwała, gdy ją dobywać będziemy! rzekł Baron.

— Otóż to i mnie frasuje. —

— A tymczasem professorze, ad rem, słuchamy twej historji, którą opowiadasz tak pięknie, uczeń ciekawy i pojętny.

— Słuchajcie, tylko zmiłujcie się, jeżliby się złapała, pomożecie mi ją za to wyciągnąć.

— Z całego serca.

Stary professor odkrząknął i w te słowa mówić począł głosem jak z katedry.

— Jak tylko się człowiek najadł, napił, wyspał, okrył i uzuł że bestji dosyć, zaraz się domyślił że jest w niem coś drugiego krom zwierzęcia; uczuł się człowiekiem, aniołem, duchem a czując także głód w duchownym swoim

żołądku, począł szukać prawdy, któraby go nakarmić mogła. Z tąd cała filozofia się rodzi.

— Której by nie było powiadasz pan, gdyby się człowiek — bestja, wprzód nie najadł i nie napił.

— Oczewiście lecz to mniejsza.

Obróciwszy się na wschód, tę kolebkę rodzaju ludzkiego ujrzym tam naprzód wyradzającą się ideę prawdy w osobie Bóstwa jednoczącego w sobie wszystko, począwszy od komara do słonia i człowieka. Wszystko zawierał Brahma; a zaraz i to wszystko jakoś rozbiło się na troje; urodziła się z jedności trójca. Trójca znów skleiła się w jedność. Ludzie szukali prawdy zatapiając się w bóstwie, jednocząc się z nim zjednoczeniem takiem, że sobą być przestawali.

— Zapomnieli nieboracy na którym byli świecie.

Jakkolwiek bądź, w Indji jako zasadę prawdy widziemy ideę jedności i troistości. Ta troistość od Indjan począwszy po dni dzisiejsze przez Platona płynie w żyłach wszelkiej filozofji i piętnuje wszelką naukę swą tajemniczą pieczęcią. U Persów znów jedno rozbiło się na dwoje i prawda stała się złem i dobrem, walczącem z sobą wiecznie: Ahriman i Ormusd wznieśli się nad ten swiat nowy, który walką wszystkiego chciał sobie wytłumaczyć boje doczesnego życia poziome i drobne. Tu wzięło początek pojęcie jakichś zasadniczych idei, które stworzeniu przewodniczyły. Z elementów ogień otrzymał pierwszeństwo, a raczej światło. Chaldeowie wznieśli się nieco wyżej od ziemskiego płomienia do swiateł niebieskich. W Egypcie wszystko było

bóstwa częścią aż do cebuli, o tem wiecie, a zatem wszystko prawda co rzeczywistość i rzeczywistość bóstwem. U Hebreów Bóg znowu jeden i wielki, on w swiecie a świat w nim; prawda się skupia, człowiek podnosi głowę czując w stanie upadku. To poczucie się człowieczeństwa jest wielkiem znamieniem! W niem wielkich przeznaczeń rękojmią, w niem tęsknota ku czemuś wyższemu, sięgnienie do niebios, które mu zajaśniały. Poznał człowiek jak był nisko i zapragnął się podnieść.

Oto w kilku słowach przedhistoryczne że tak powiem dzieje filozofji. Dalej, bliżej nas śledzić możemy szczegółowiej historją prawdy, nie w narodach już całych, ale w indywiduach, uosabiających ludy i czasy.—

Poczciwy staruszek Thales uważał za prawdę jedyną, wodę.

Dziś już i gęsi nie wiem czyby się tem kontentowały, przerwał Baron.

Początek istniejących rzeczy—mówił professor—Za złe mu tego mieć nie można, zważywszy że żył w czasie wielkiego pragnienia ludów. Że przyznawał magnesowi duszę, dowodzi to że wcale nie był głupi na swój czas, bo i my poczekawszy do jego mądrości powrócim z małą odmianą.

Anaxymander w czemś nieopisanem, nieokreślonem widząc wszystkiego początek i prawdę zasadniczą, przyznał przynajmniej skromnie, że niedaleko widział. Uznał to *coś* niezmiernem, a wszystko co w niem zawarł rozmaitości pełnem i ruchawem. Wcale nie zgorzej na początek; są tu już wielkie zasady.

— Zapewne, zapewne, pomruczał Baron.

— Ferecydes z Syros żeby stworzyć ziemię i światy przypuścił Jowisza i materją. Jeszcze i dziś toż samo robią filozofowie. Jowisz nie wystarczał nieborakowi, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, materji stworzenie. Anaximenes poprawując Thalesa, uznał znów prawdą *powietrze*. Nakoniec wielki Pythagoras jedyną prawdę ujrzał w znajomej tabliczce, krom liczb, to jest krom materji niewidząc nic pewnego. Był to jak widać przynajmniej uczciwy i sumienny człowiek— Nauka liczb zajęła go całkiem, z niej i przez nią chciał zbadać prawdę. Za nim do dziś dnia tłum jeszcze pędzi, co liczbę uważa za jedyną pewność. —

Co do mnie przyznam panom otwarcie, ale po cichu, nie jestem pewien, czy za lat tysiąc, dwa a dwa nie będą robić pięciu. Wszystko to niezmiernie prawdopodobne.

— Nawet to że my dziś Leviathana na wieczerzę ludzkości rozpłatamy —

— Idźmy dalej, nie tracąc czasu; chwile biegną, mam przeczucie, że dzień dzisiejszy będzie dla mnie stanowczy. U Pythagorejczyków i świat i Bóg i dusza były liczbami tylko różnemi. Jeśli już dziś za złe niemamy bałwochwalcom biednym, że Bogi swe w drewniane ubierali posągi; za cóż wyrzucać Pythagorejczykom że Bóg jest ich wielką wspaniałą jednością! Pythagoras szukał też prawdy na ziemi i liczby moralnej dla rozporządzenia wedle niej ludźmi; ale to wszystko jeszcze zasadzał na tem, żeby za *dwa* dać *dwa;* to jest, naprzykład, kto cię dwa razy uderzył, ty mu oddaj ni mniej ni więcej — dwa tylko. Moralność ta

matematyczna wcale jeszcze nie była ciekawa. Xenofones, nowa gwiazda naszej historji, doszedł wielkiego fałszu lub wielkiej prawdy, że z niczego nic być nie może. Jest to na pozór śliczne cacko, ale w istocie fałsz wierutny, bo wszystko powstaje z niczego. Lepiej mu się udało przypuszczenie, że wszystko jest jednej w głębi natury, a ta jedność jest Bóstwem, a Bóg jest *sferą*. Nie miejmy mu za złe tej sfery, bo u nich jeszcze materja nieodłącznie wchodziła do idei Bóstwa, a szukając dla niej formy najdoskonalszej, znaleziono naturalnie — sferę. Prawda więc u Xenofonesa jest kształtu kuli działowej, dzisiejszej *ultima ratio* społecznego świata.

Kocham Parmenidesa za to, że zmysłów przeczuł fałszywość; bo cóż zmysły pewnego nam dają? U nich dziś białe, jutro czarne i gdyby się człowiek tęgo nie trzymał, okpiwałyby go co chwila. Nieudało mu się to tylko, że prawdy głębiej świdrując, szukał w *eterze* — ogniu i nocy, na dwóch krańcach, gdzie i światło i ciemność równie ślepią. . . .

— Professorze skracaj, bo będziemy tu nocowali, przerwał Baron.

— Idę dalej, idę dalej, uważajcie tylko na wędkę kochani moi. Przychodzim do Zenona z Elei; był to mówią przyjaciel Parmenidesa, bardzo godny człowiek, ale że w ruch nie wierzył całkiem a podobno i w nic więcej, było to zeznaniem się filozofii przez jego usta, że sama nie wiedziała co począć, i w co wierzyć, poczytując tym czasem za najpewniejsze, nie wierzyć w nic wcale. Heraklitowi było za-

pewne znowu zimno, jak wielu jego poprzednikom, gdy swój ogień — prawdę wymyślił i stworzyciela ognia powołał do życia; ale widział on i duszę i muśiemy mu ogień dla duszy przebaczyć.

Atomy Leucippa były jakby granicą po za którą niepozwolono do czasu bujać umysłowi ludzkiemu, mówiąc mu dalej — wara! dalej niepodzielne. Znalazła się też i próżnia obok na umieszczenie atomów, i *przestrzeń* dokuczać przestała. Dusza, wedle Leucippa, miała się składać z porządnych, okrągłych (doskonałych) atomów, wydających ruchem swym ciepło i myśl. Ciepło i myśl z jednego rondelka! Takaż to i myśl być musiała.

Począł się śmiać Demokryt i doprawdy było z czego; cieszył się nowo narodzonym atomem i pieścił je gdyby własne dziecko, był mu mamką i nauczył go *ruchu*, wodząc na paskach. On pierwszy odlepił *obrazy* od *rzeczy* i dał im oddzielną exystencją. Empedokles, którego pantofle Etna wyrzuciła, brzydząc się natrętem, który w żołądek natury chciał zaglądać, nie był wyłącznie ani przyjacielem prawdy ognia, ani prawdy — wody; rozbił co było na czworo, i z jego łaski mieliśmy cztery żywioły aż do ostatku szkół jezuickich. On także stworzył zasady pociągania i odpychania, nie namyśliwszy się, że pociąganie jedno byłoby wystarczyło, bo odpychanie od jednej rzeczy jest skutkiem pociągania ku drugiej. Empedoklesa demony i *demon* człowiek, wygnaniec z raju, przypominają Hebreów; u niego dusza wędrówkę odbywać zaczyna i coraz inny kształt przybiera, oczyszczając się, podnosząc, dążąc do zlania

z jednością. Empedokles też zjednoczył się z ziemią, a przez nią z universum, w otchłaniach Etny. Anaxagoras prawdę znowu rozdwoił; materją nie wiedząc jak ją stworzyć, przypuścił odwieczną, co najłatwiej. Najznakomitszem podług mnie zdaniem Anaxagora jest to, że uznał w świecie niepodobieństwo klassyfikacji istot i fenomenów jak od siekiery — połączenie ściśle wszystkiego ze wszystkiem. —

Diogenes Apolloński powietrze znowu uznał zasadą, a zasadą *jedną*. — Słowem, jak widzicie, prawd było ile ludzi, ale to nic jeszcze, jesteśmy dotąd w pieluszkach. Narobiwszy systemów, ludzie opatrzyli się nareszcie, że kiedy jest tyle prawd do wyboru, wszystko jedno jakby żadnej nie było. Poczęli więc niewierzyć w nie wszystkie. Ostrożny człowiek, bojąc się omylić, wołał wszystkiemu zaprzeczyć i położył się śmiejąc i wątpiąc w barłogu. Był to pierwszy perjod zwątpienia ludzkości, która zwalczona upadła na ziemię i zamiast pracować chętniej, zaparła się rąk swoich. Wygodnie też było powiedzieć sobie: niema prawdy, bośmy jej nie doszli, a zatém niema prawa, a zatém: hulaj dusza!

W tém wystąpił na scenę z zadartem nosem Sokrates, poczciwy strasznie człowiek, który miał bardzo złą żonę, sławniejszą podobno od siebie. Ten jeszcze po troszę wątpił o wszystkiem, ale już wpadał na ścieżkę prawdy, wołając: poznawajcie siebie, pocznijcie naukę z głębi waszej, a tak za nicią pewną pójdziecie dalej. — Ale! hulaj dusza! wołała cała Grecja, i gdy Sokrates odpowiedział jej: — Czyńcie dobrze! poznajcie siebie, umiarkujcie się! — Widzi-

cie dla czego (to jasno jak na dłoni), kazano mu wypić cykutę. Sokrates miał tylko *przeczucie prawdy*.

Z tej wielkiej mnogości fałszów, z których każdy przebierał się za prawdę wynikło to, że Antisthenes założył, iż wiedzieć prawdę lub nie, rzecz obojętna, a pierwsza być sobie poczciwym człowiekiem i kwita; do świata się jak najmniej przywiązywać, jak najmniej od niego potrzebować i zależeć. Było to zaparcie się duchownej części człowieka, potrzeb jego umysłowych, dla praktycznego życia. Ludzkość uosobiona w Diogenesie z desperacji, że prawdy ugryźć nie mogła, siadła w beczce i piła dłonią wodę, wracając do czasów pół-bydlęcych. Któżby to tego nie postrzegł? Z Cynizmu musiał się narodzić Hedonismus, jeden poczciwy, zasadzony na mądrości i cnocie, drugi niepoczciwy, jedynie oparty na roskoszy. Nie mogąc dobić się prawdy, ludzkość usiłowała przynajmniej używać — mówiąc sobie: tyle mego!

— Pilnujcie wędki, ja idę dalej mówił stary, droga jeszcze długa. Cynismus, Hedonismus, Skeptycyzm wszystko to dziatki jednej matki — dzieci rozpaczy w dochodzeniu prawdy, zawsze jeszcze niepoścignionej, i osłonionej nieprzejrzystą szatą.

Dalszym ciągiem tego samego uczucia ludzkości objawiającego się w jej przedstawicielach, jest Pyrrho z Elidy, apatyczny Pyrrho, ojciec niewiary pochodzącej z zawiedzionej i zbyt prędkiej ufności w marzeniach. Prawda poczęła się coraz bardziej gmatwać w słowa, poczęto ją coraz bardziej przywiązywać do formy, zasadzać na wnioskowaniach zrę-

cznych; sztuczki ze słów plecione uważano już za jej poszukiwanie. Aż nareszcie zajaśniał boski Plato! Boski Plato łączył w sobie krytykę tego co minęło, przeczucie tego co przyjść miało, i siłę stworzenia nowej teraźniejszości.

Idea, wyrzekł Plato, jest prawdą, i idea tylko sama; krom niej wszystko zmienne, fałszywe. W nas jest idea wszystkiego i miara prawdy. Czujemy prawdę naszą o niej ideą wrodzoną. — Bóg — idea, Demiurgos panuje światom — idei, sam idea, sam duch. Między ogniem a ziemią łącznikiem woda, u Platona jest objawem prawdy zasadniczym, jest żywiołem pośrednim. U niego wszystko troiste i dusza ludzka także.

Lecz za długobyśmy prawili o Boskim Platonie, który chciał stworzenie świata odgadnąć i wszystkie poprzednie systemy zlał w jeden swój własny. Nieśmiertelność duszy, uznanie jej, oto wielkie jego kroki na drodze prawdy; cnota jako łącznik między Bogiem a człowiekiem, jako westchnienie ku Bogu — idei — pogarda zmysłowości — oto jego zasługi dla moralności powszechnej.

Aristoteles sławniejszy może później od niego, był to zręczny człowieczek, co spadek po swych poprzednikach uporządkował, urządził, rozklassyfikował. — On to utworzył i podniósł wysoko logikę jako organon wszelkiej umiejętności, i zbudował to pocieszne coś, któremu długo kłaniali się ludzie, nie mogąc tym stępiałym scyzorykiem nawet łupiny prawdy otworzyć. Arystoteles ma wielkie zasługi na drodze naszej, mianowicie, że wyczerpując we wszystkich kierunkach zdanych kilku prawd wnioski,

wstrzymał postęp ludzkości, która czując się wyręczona przez niego, poszła spać na długo. Wszyscy byli pewni, że po Arystotelesie nic nie było już do zrobienia.

Wolę już Epikura, który się w prawdę nie wdawał, czując ją za wysoko dla siebie, a uczył żyć grzecznie, pięknie i słodko, nikomu w drogę nie włażąc. Nie wiele umiał, kontentował się zmysłami wszystko do nich odnosząc; celem życia uznając nie *poznanie* prawdy i podniesienie się duchowne, ale *użycie*, roskosz. —

Ludzkość już w różne drogi się puściwszy, naprożno szukała oparcia się gdziekolwiek, a nigdzie stałego znaleść nie mogła, i Stoicy usiłowali ją wstrzymać w jej gorączkowém miotaniu się. Niezapuszczając się zbyt daleko, Stoicy usiłowali trzymać się na zdrowym rozumie, przezeń wyrobić sobie jaką taką prawdę, na codzienne potrzeby. Za prawdy służyły u nich dwa początki, dwie zasady — *materja i Bóg*. Znowu więc ta nieszczęsna dwójka, znów walka, tylko że materji obcięto paznogcie i uczyniono ją zupełnie bierną. Boga umieszczono wśród świata na pościeli tej bezwładnej materji, której przecież stworzenia przyznać mu nie chciano. Nad głową jego zawieszono Fatum, inaczej prawo! i zamknięto drzwi świątyni na wieki. System Stoików był jak wszelki późno przychodzący, mieszaniną, zlepkiem; a było w nim wszystkiego po trosze. Co najwłaściwiej ich jest, to pojęcie stałości w życiu człowieka jako elementu moralnego, jako siły nowej, i pojęcie solidarności całego życia, któren złem jest skoro się mieni i szuka. Prawda ich była surowa jak oni, niemiała serca.

Skeptycyzm pod różnemi formy panował światu, a prawdy szukano w wątpliwości, co z resztą do naszych prawie czasów dotrwało.

Pojęcia o Bogu — prawdzie, przychodziły przecie do udoskonalenia, oczyszczały się; Carneades który pierwszy posądził ludzkość o Anthropomorfizm, podniósł wysoko Boga i ukazał go wyższym już niejako nad pojęcie nasze. — Prawda jaśniała niepochwycona nad horyzontem. . . .

Opowiadanie starca przerwał Baron okrzykiem:

— Professorze! professorze! schylasz się nadto. — Ale jeszcze tych słów niedomówił, gdy starzec któremu wędka zadrżała w ręku, w obawie aby złapanej prawdy nie upuścić, rzucił się naprzód chwytając łapczywie wędę, pochylił, zachwiał i upadł w rzekę, tak, że tylko dziurawe jego buty ukazywały się nad wodą. . .

Tomko bez namysłu rzucił się za nim ratować, a German zażywając tabakę, szeptał patrząc obojętnie:

— Teraz to się już prawdy domacacie nieochybnie. .

Próżne były usiłowania Tomka, który starego chciał wyratować; ogromny sum złapał się był na wędę i ciągnął go na głębią, a młody chłopiec sam począł tonąć, napróżno szaleńca usiłując zdobyć. Wreście zalany wodą, na wpół żywy, szamocąc się ze starym, gdy postrzegł że siły go opuszczają, smutny wyrwał się na brzeg rzeki.

— Szkoda reszty historji filozofii, zawołał Baron do Tomka który się drapał na urwisko, ale teraz już jeden z was niechybnie prawdy się dowiedział; my chodźmy do domu, bo się jeść zachciewa.

XXI.

Przez kilka dni jeszcze od drzwi do drzwi błąkał się Tomko napróżno; jeden mówił mu: Prawda jest mój system tylko, prawdą jest tylko moja prawda, którą wykładam.

Drugi powiadał skromniej: — Niewiem co prawda.

— Wszakże jej uczycie?

— Tak jest, ale uczyć, a wiedzieć to w cale co innego.

— Gdzież sumienie?

— A kto da chleba darmo?

— Wolałbym drwa rąbać.

— Na to, nie zgoda.

Inny, co swieżo przeczytał traktat teologiczno filozoficzny zakazanego Spinozy, zaręczał że świat jest jedynym Bogiem, ludzkość świata koroną, Boga objawem. Domyślał się już co Hegel zrobi genjalną ręką szczepiąc latorośl platońską na płonce Spinozy.

Jeszcze inny powiadał mu: prawdą jest serce i uczucie, to coś niepojętne, wrodzone, które przynosimy z sobą z innego świata . . . .

Uczeń Kartezjusza powtarzał: — Wątp zawsze a dójdziesz prawdy — dodając z Pascala tą myśl wyszarpniętą a może spaczoną:

Le pyrrhenisme est le vrai.

Tomko tego bardziej od innych założeń pojąć nie mógł. Wiecznie wątpić, jestże to żyć?

Artysta, mówił mu: Prawdą co piękne! piękne w świecie moralnym zowiecie dobrem i sprawiedliwem, w życiu szczęściem. Wszystko jest aspiracją ku pięknemu, piękno jest prawdą jedyną!

Na to zaraz praktyk odpierał: — Gdzież zastosowanie i użytek piękna?

—Piękno samo w sobie ma swój cel, jest to odblask najwyższej piękności, nieśmiertelnej, jego użytkiem że duszę podnosi, że wznieca to uczucie, co nas przybliża ku ideałom, ku niebu! Ono jest wspomnieniem pierwotnej ojczyznyj jakby piosenką którą wygnaniec nuci tęskny, przypominając lata dziecinne; ono jest modlitwą do Boga.

—Prawdą jest nauka, przerwał inny, nauka gdyby nic więcej nam nie dawała nad szeroką drogę bez celu i końca, nie jestli najlepszym ku górze gościńcem?

—A na tej górze?

—Szczyt tej okryty chmurami, i mniejsza o to, byleśmy ku niemu postępowali.

Naukowy postęp to wszystko, to prawda jedyna. Znajdźcie mi co by silniej zajęło, coby wyżej uniosło nad to szperanie w tajemnicach natury, w prawach nieznanego. Ona oswobodziła Archimedesa od uczucia śmierci nawet, której niepostrzegł nadchodzącej, zadumany nad swoim zwojem. Jestli szczęście mniej podległe zmianom, stalsze, pewniejsze nad to, które daje nauka?

—Nauka jest fałszem, przerwał inny, wsród żywego życia, uczony jest czemś niepojętem, on nie żyje, ale uczy się życia, a gdy abecadło skończył, umiera. Umiera niepewien niczego, nieskosztowawszy uczty mu przez Boga zgotowanej, skeptykiem znużonym; wartoż się było rodzić na to?

— Prawdą więc jest użycie? pytał Tomko.

—Nie, przerwał inny, użycie jest nieskończonym zawodem, pragnienie jest roskoszą i prawdą.

—Ale pragnienie jest czemś niedoskonałem, nie pełnem, nie całem?

—Bo też w piersi wiecznie tkwiące, powiada nam, że żywot nasz tutaj nie jest cały i skończony. Ze wszystkiego co przeczuciami drugiego życia nazwać się może—jako i miłość która jest przeczuciem zjednoczenia wszystkich w jednem; ciekawość która oznajmuje nam mądrość i wszechwiedzę w Bogu; zamiłowanie piękna które zwiastuje doskonałość przyszłego żywota — pragnienie, przeczucie najwyższe! najwyraźniej nam mówi nigdy niemogąc być uspokojone tutaj, że napój do ugaszenia go, nie na tej brudnej ziemi płynie. Bóg wszystkie te przeczucia złożył w sercu człowieka, ale człowiek źle je pojął i na złe ich użył.

W ostatku przyszedł ktoś jeszcze i szepnął do ucha Tomkowi: Postęp, to prawo ludzkości, to prawda! idźmy naprzód!

—Do kąd?

—Do szczęścia, do absolutnego szczęścia ziemskiego.

—Na ziemi?

—Tak, nie inaczej.

—A walka ze światem, z materją, z ciałem własnem, z pierwiastkiem zniszczenia, który jest z drugiej strony materjałem nowego żywota?

—Ten bój musi ustać; zwyciężym buntowniczą materją, podbijemy ducha, udoskonalim człowieka, użyjemy jak sprężyn namiętności jego; opanujęmy swiat i damy mu szczęście.

— Kiedy?

— Niewiemy jeszcze! w krótce! w krótce! ludzkość wielkiemi idzie krokami, coraz szerszemi a szerszemi i dościgać się zdaje celu.

— Cóż nim zowiecie?

— Co? dobry byt, szczęście —

— Dobry byt więc ziemski celem waszym?

— Podstawa przynajmniej.

— Potraficież zniszczyć co w życiu z natury jego jest znikomego, zmiennego, uległego stratom podlegającego wypadkom?

Na to ostatnie pytanie, zniknął ruszając ramionami przyjaciel szczęścia ludzkiego.

XXII.

Po kilku tygodniach pobytu w mieście, Tomko stał się do siebie niepodobnym: zrażony, ostygły, osłupiały, zadumany, milczał w chorobliwém jakiemś odrętwieniu zostając. Było to coś na kształt Bramańskiego zatopienia się w wielkiej istocie, chwila bezmyślnej martwości, brak woli, brak pragnienia, brak żywota; nie rozpacz ale zobojętnienie od niej straszniejsze. Baron patrzał na niego z uśmiechem politowania, przychodził coraz rzadziej, gniewał się coraz częściej, nareszcie jednego wieczora napróżno usiłując go wciągnąć w nowe badania, w nowe go rzucić zajęcie i zamęt, plunął, szusnął nogą i zniknął.

Dymek tylko smrodliwy zakurzył się za nim, a Tomko pozostał sam jeden.

Co się później z nim stało, niewiemy; jesienią późną dopiero, odarty, w łachmanach na ciele i duszy, wlókł się drogą ku domowi, sam prawie niewiedząc dokąd idzie.

XXIII.

Jak w wielkim tłumie, którego tysiąc głosów się kłóci, wrzały myśli niesforne w głowie biednego Tomka; w sercu jego było pusto, i wiatr tam tylko przelatywał chłodny. Reszta rychło wyczerpanego życia, schroniła się pod czaszką, ale tam stypę obchodziła przedśmiertną, pogrzebową sprawiała sobie hulankę. Szedł i nie pytał już o prawdę ani świata, ani ludzi, ani siebie, ani Boga co czasem głosem w nas mówi wewnętrznym i wszystko dlań było obojętne. —

Wspomnienia rodziców, domu, kątka kraju świadka lat dziecinnych — zamarły, ucichły, milczały. Łachmany tylko myśli czarnych pędziły się jak chmury burze poprzedzające w głowie jego, świszcząc i kłócąc się z sobą.

— Prawda! Jest prawda! Niema prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko ułudą, powtarzał! I znużony padł spocząć na kamieniu, głowę gorącą oparł o drzewo i powtarzał zadumany, przez sen: Niema prawdy! —

Wtém nadciągnął stary o kiju, Dołęga.

— Co ci to jest Tomku? spytał go łagodnie.

— Chory jestem — o! bardzo chory, odparł ledwie go poznając uczeń.

— Cóż cię boli?

— Boli? nic mnie nie boli, chory jestem i nie pragnę zdrowia, chcę tylko śmierci; śmierć kończy, chcę końca.

— A prawda twoja?

— Prawda! ha! to nicość, to zniszczenie, to spokój bez życia, to zagłada, to śmierć może. —

— Biedne chłopię! Wstań i posłuchaj mnie — rozbudź się znajomym ci głosem. Puściłem cię na świat umyślnie, abyś własnemi siły zmierzył się z olbrzymem prawdy. Aleś ty mu nie podołał, obalony na ziemię jęczysz i narzekasz. — Posłuchaj, może cię uleczę. —

— O! nikt! nigdy.

— Szukałeś prawdy absolutnej, jedynej, w zdaniu jedném w miejscu i kątku pewném, w kilku słowach ludzkich zamkniętej, w wyłącznej jakieś istocie, w jednem rodzaju żywota; a prawda nie jest ani w słowie jedném, ani w chwili jednej, ani w jednej istocie, ani w myśli ludzkiej tylko. Prawdą jest wszystko co istnieje, prawdą jest życie, byt; a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg. On rozsypał w duchu którym ożywił ziemię te ołamki prawdy, coś je dziecino moja, zbierać chciał po okruszynie; a w każdej skorupce niebieskiego naczynia, tyś je chciał znaleść całe. Nie znalazłeś prawdy, boś jej tam gdzie szukałeś znaleść nie mógł. Prawda to naczynie rozbite, którego szczątki tylko odgrzebywałeś z popiołów i gruzu, cała stoi tylko i jaśnieje w niebiosach. Prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą co pochodzi z ducha, wszystko fałszem co rodzi się z ciała i materji, to jest ze śmierci.

Prawda jest złotą nicią wśród szarej tkanki, przesuwającą się we wszystkich tworach, we wszystkich żywota godzinach. Różne jej strony widzisz w rożnych Boga dziełach; nigdzie jej całej niema.

W piersi ludzkiej tylko jest to pojęcie potężne jedności i całości prawdy, które starczy za nią samą.

To pojęcie jest jako obraz słońca w kropli wody; ale w odbitem słońcu co się silnie w kropelce, niechże astronom je rozmierzy, niech gwiazdarz wielkość jego pochwyci!

Tém pojęciem prawdy, które się rozkłada w nas na pozornie oddzielne pojęcia: dobra, piękna, prawa, pożytku, a jest jednostką, wysoko stoi człowiek. Gdy reszta stworzenia ma tylko cząstki ducha, człowiek jeden ma w sobie całość, ma duszę. Od kamienia do najdoskonalszego ze stworzeń wszystko ma tylko pożyczoną odrobinę duchową, co mu życie daje; jedni my mamy całego ducha, duszę i udział drobny ale całość stanowiący, ale pojmujący siebie, władnący sobą. Bóg stworzył nas na podobieństwo swoje, to jest całkowitemi w sobie. Tomku, słyszysz ty to?

Tomko zdawał się przebudzać, ale słowa mistrza jeszcze go nie uspokoiły. —

— Gdzież szczęście? spytał słabym głosem.

— Szczęście całe tam, gdzie to wielkie naczynie o którem ci mówiłem, szczęście całe jest w niebie, ołamki jego leżą do koła; a nie trzeba ich zbyt głęboko szukać; nie trzeba się spodziewać całego i pełnego szczęścia jakie pojmujemy, bo tu go nieznajdziemy.

Nie szukaj go w dobrym bycie, bo ten jest i być musi tysiącom zmian uległy; nie szukaj nadewszystko w sobie, i siebie jak zwierze nie czyń celem stworzenia a ogniskiem wszystkiego. Winieneś wiedzieć, że ludzkości całej szczęście celem każdego z jej członków najświętszym, że cała ludzkość twym bratem, a miłość bliźniego nie tylko obowiązkiem, nietylko cnotą, ale prawem jest twojego bytu. Jak skoro z pod tego prawa pojedyńczy człowiek chce się wyłamać, spotykają go zawody i cierpienia bez celu, bez ratunku. Pojedyńczy człowiek znikomy jest i nikczemny; cała ludzkość ze swą rozmaitością i wielkością i całą przeszłością i polami przyszłości stanowi dopiero ideał człowieka, którego ty jesteś odrobiną. — Nie szukaj prawdy w samym sobie, ani szczęścia w sobie samym; staraj się o szczęście drugich, żyj cały w braciach, umiej się poświęcać, a znajdziesz i prawdę żywota i szczęście.

Za poświęcenie nie szukaj nagrody, ani chluby, ani pragnij aby się na niem poznano, ani mów o nim; poniżaj się, boś w istocie małym zawsze, póki wielkim się sądzisz, boś znikomy, słaby, drobny w obliczu Boga, — obliczu ludzkości nawet.

W nauce prawdą jest, że nic spełna nieumiemy, niewiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie, upokorzeni wołają: — Wiemy że więcej jest daleko nad to co umiemy i rozumem naszym dojść możem. Głupcy tylko mieniąc się mędrcami wołają: Myśmy posiedli wszystko, pojęli wszystko! Są to umysłowi Chińczycy, którzy po za granicą Chin swoich nic już nie wiedzą. —

Na dnie istotnej nauki, pokora; ale człowiek który się czuje słabym i ograniczonym, podnosi się tem uczuciem nad wszystkich zarozumialców; czuje on cały ogrom pozostały za granicami jego wiedzy, wzdycha do niego i jest Kolumbem co czuje Amerykę gdy gmin podobien Genueńczykom, nie wierzy w inną ziemię, nad tę którą oplugawił.

W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jej losami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobłażanie i poświęcenie, znowu żywot ducha a nie ciała; usamowolnienie umysłu i duszy, spętanie zwierzęcej części człowieka.

Tomko słuchał, oczy mu się rozjaśniały.

—Mistrzu mój, rzekł, lecz czémże popęd ku wiedzy i chciwość poznania wszystkiego?

— Jest to popęd szlachetny, jest to przeczucie świata w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym. Ale niemyśl by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroka problemem jego doskonałości.

Nie, stokroć nie! Jesteś w błędzie! Czyn jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki.

Człowiek co nic niewie, prócz pierwszych prawd z któremi się urodził, a które rozwinęły w nim życie poczciwe i pracowite, często wyż[illegible] jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i [illegible] nie czyni.

—Źle więc zrobiłem idąc szukać prawdy?

—Źle? nie — lecz prawda jest wszędzie; ona otacza nas. Jak zewsząd prócz więzienia widać niebo, tak ze wszystkich stanowisk życia prócz zezwierzęcenia, widać prawdę nad głowy naszemi. Bądź zdrów, idź do domu. Tam cię czeka reszta nauki, tam i mnie może jeszcze zobaczysz.

To mówiąc podał rękę Tomkowi, podniósł go na nogi i odżywionemu nieco, wskazał drogę ku rodzinnej chacie.

XXIV.

Któż kiedy nie wracał do domu z zawodem i żalem? Chwila to bicia serca i zawrotu głowy, gdy z za pagórków i drzew, ukaże się ta chata z której człek wyszedł z nadzieją, do której wraca z boleścią; którą żegnał radośny prawie, a wita smutny, zwalczony i ranny. Cóż nas tam ciągnie i woła pod ten dach słomiany? Czy te lata minione co leżą po drodze jak zeschłe liście drzew w jesieni, czy nadzieje wykarmione co z tąd leciały gołębiem, wróciły krukami; czy ludzie których pierś nie starczyła nam przed laty, do której teraz przytulić się chcemy zziębli szukając w niej ciepła, po chłodzie świata?

Tomko zbliżał się drżący i płakał. Po raz to pierwszy od dawna łzy wezbranego serca strumienie z któremi tyle spływa uczuć, tyle boleści unosi się w morze łez ludzkości, gdzieś nad Jozefatową rozlewające się doliną, aby świadczyły za człowiekiem przed Bogiem, że umiał kochać i cierpieć — po raz pierwszy od dawna łzy poszły z jego oczu, a głos myśli natrętnych uciekł przed głosem serca.

I czy te łzy były prawdą, nie spytał, bo czuł to głęboko, że wszelka boleść nawet najmniejsza jest święta i prawdziwą, a kłamana występkiem.

Jakże tu nic się niezmieniło!

Wracał do domu, gdzie zda się jednym krokiem nic nie postąpiło ku starości, gdy on w tak krótkim czasie tak bardzo postarzał. Tem wiejskim powolnym żywotem dłużej się żyje, a im kto goretszą kąpiel bierze, tem króciej w niej trwa. Tak było z Tomkiem, bociany nowych gniazd nie układały, na strzesze mech nie porósł, trawa nie pożółkła w podwórku, a on tak zżółkł i zestarzał!

Majestatyczny zachód słońca rozpromieniał się na niebiosach i wblaskach zachodu, we wrzawie barw na tle ognistem wyiskrzonych, zdawało się słyszeć muzykę aniołów co przygrywała dnia końcowi, i kołysała ziemię do spoczynku. Ptastwo i wszelkie stworzenie ziemi, co jeszcze niema tyle rozumu by sztucznie utworzyć sobie życie, spieszyło do snu na rozkaz nocy. Ciągnęły kaczki dzikie po nad dworkiem, stada szły becząc i rycząc do otwartych im szopek, a lud prosty wracał od pracy z weselem w sercu.

Na ganeczku dworka siedziało ludzi dwoje, starców dwoje; oboje milczeli, obojga oczy a myśli nosiły się daleko.

Nie mówili a rozumieli się myśląc o swojem dziecięciu. Syn marnotrawny powracał.

Na wschodach ganku siedziała Małgosia i bawiła się ze starym psem podwórzowym; kury i gołębie szczebiocząc chodziły koło niej, zaglądały jej w ręce. Skrzypiał żóraw od studni, bo trzódkę poili pastusi; z kościołka dzwonek wieczorny dzwięcząc pacierze za zmarłych przypominał.

Chwila to była na wsi uroczysta i urocza.

Nagle wiatr powiał, i jakby niósł z sobą zasłonę wieczorną rozwieszając ją po niebie — sciemniać się zaczęło. Starzy podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

—Moja panno, rzekł ślachcic, Bóg łaskaw, Tomko powróci, niema się czego trapić, dziecko trochę postrzelone w głowę, ale serce ma dobre; nic mu się przy opatrzności bożej nie stanie.

—Mam i ja tę nadzieję co Jegomość, ale czemuż choć nie nakazał do nas? wiadomości nawet nie dał o sobie?

— Snać nie mógł.

Małgosia słuchała.

—Serce mi mówi Jejmościuniu, że rychło powróci, jeno go nie widać. Biedakowi ten stary Dołęga głowę przewrócił, ale to się na swieżem powietrzu wyszumi.

—Daj Boże! uproś Matko Najświętsza!

Gdy to mówili, Tomko z za wrot poglądał oparty o starą lipę, patrzał w dziedziniec domowy, a nie śmiał się zbliżyć, a serce w tej chwili rozwiązywało ostatnią zagadkę, którejby głowa nie podołała.

—Szczęście nie jestli to spokój wśród bożego swiata, wśród cichej, ustronnej wioski? Te powolne godziny jednostajnie płynące, nie sąli najdroższemi chwilami naszego życia?

Tych dwoje starców bez zgryzoty, bez zmarszczki na sumieniu, dokończających wieku swego wśród błogosławionych ich kilku rodzin, nie sąli więksi w obec Boga,

którego znają i kochają, nad olbrzymów wiedzy, bohaterów wojny, co we wrzawie zapomnieli trochę o sobie, a całkiem o Bogu?

W ich życiu jestli próżna chwila, którąby nie była czynem lub modlitwą, to jest westchnieniem ku niebu? Ciemni są, ale ich ciemnota nie zakrywa przed niemi nieskończonej wielkości Boga, braterstwa ludzi, cudów świata, cudów życia i nadziei wieczności cudniejszej jeszcze. Mali są, ale w miarę swoją uczynili więcej, niżeli nie jeden z tych co mógł, a nie kwapił się do czynu, bo szczędził siebie, bo siebie tylko kochał. —

Mówił a łzy znowu mu do oczów się toczyły.

— Prawda jest w sercach poczciwych, zawołał, prawda jest gdzieśmy bliżej Boga. — Nie! nie, ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą! —

I rzucił się ku domowi.

A na ganku podniosły się ku niemu ręce, zadrgały serca; bo go wszyscy pod łachmanami poznali, nawet pies — nawet Małgosia!

Jeśliś się w czasie głośnego tej powieści czytania wyspał miły czytelniku, jeśli cię Tomko nie zajął, nie obawiaj się wyznać mi tego otwarcie. Spodziewałeś się zwyczajnych bohaterów i prostej powieści, a trafiłeś na coś na kształt długiego monologu, często słyszanego w duszy i znajomego ci może aż nadto (jeśliś kiedy w głąb swojej duszy zstąpił).

Jeśliś spał nie gniewam się w cale; jeśli przeczytawszy spytasz z gniewem: — Czegom cię nauczył? odpowiem ci: Nauczyłem cię, że w duszy twej są głosy których posłuchać warto, one ci więcej i piękniejszych rzeczy powiedzą nad te, które słyszałeś odemnie. A teraz bądź zdrów.

Grudek—Hubin.

1849—1850.



